JÓZEF WASOWSKI
(WIDZ)

WIELKIE CZASY

WARSZAWA – 1928
NAKŁADEM KSIĘGARNI F. HOESICKA

WIELKIE CZASY

JÓZEF WASOWSKI
(WIDZ)

WIELKIE CZASY

WARSZAWA
NAKŁADEM KSIĘGARNI F. HOESICKA
1928

DRUKARNIA NARODOWA W KRAKOWIE, WOLSKA 19

CZY ZMIERZCH CYWILIZACJI?

Apostołowie nowego jutra, entuzjaści, ludzie gorącego serca, a wraz z nimi szerokie masy ludzkie, które po cierpieniach wojny wyczekiwały nagrody, usprawiedliwiającej poniesioną ofiarę, wszyscy, którzy uwierzyli hasłom gwałtownego odrodzenia, spostrzegli niebawem, że ono nie urzeczywistni się nagle i w całej swej cudotwórczej potędze, że międzynarodowe konferencje, umowy, traktaty nie przyniosą natychmiastowej i powszechnej odmiany, że natomiast świat powojenny znalazł się w olbrzymiej wyrwie cywilizacyjnej, z której wydobywać się będzie z trudem i mozołem, szczebel po szczeblu, etap po etapie.

Tymczasem jednak w chaosie politycznym powstała nowa wieża Babel, przy której pracują skłóceni, nierozumiejący się i pełni wzajemnej nieufności robotnicy. Każda litera politycznego traktatu jest jakby przesycona duchem Kleomenesa, który zawarłszy z Argwinami rozejm na dni siedem, trzeciej nocy napadł uśpionych i wymordował ich, powołując się na to, że w rozejmie nie było mowy o nocach.

Kontrast pomiędzy nadziejami, a tą rzeczywistością polityczną, która się gra na międzynarodowych konferencjach, wywołał największe w nastrojach ludów rozczarowanie.

Usprawiedliwienia ofiary wojennej szukano, rzecz prosta, nietylko na forum międzynarodowem. Idealizm powojenny spodziewał się najgłębszych zmian w for-

mie i w treści życia każdego narodu, zapowiadał rychłe i powszechne wzniesienie się zbiorowego ducha na poziomy dotychczas nieznane, zwłaszcza wśród narodów, które odzyskały niepodległość.

Rzeczywistość inne przyniosła zjawisko. Moralność wojenna nie przestała działać z chwilą zawieszenia broni i wdarła się w życie wewnętrzne obywateli, choć miała być stosowana tylko do ludzi z tamtej strony granic i okopów. Po raz tysiączny w dziejach przypomniała się ta prawda, że zło wojny wypełnia długie lata pokoju i prowadzi nadal swoje dzieło. Rozpętanie wszystkich szatańskich pierwiastków natury ludzkiej, epidemja sadyzmu i inne klątwy wojennej psychozy nie znikają z chwilą ostatniego strzału na wojennym froncie, lecz z frontu przenoszą się na teren życia wewnętrznego, by działać między jednostkami i klasami, tworząc wielkie moralne pandemonjum. Nie masz na ziemi takich środków, które pozwoliłyby w każdej chwili zahamować rozpętane żywioły ludzkie. Nie masz mocarzy podobnych legendarnemu Elowi, który wiatr wypuszczony ze swej jaskini umiał, kiedy chciał, powstrzymać i cofnąć. Lawina zła, pracą miljonów rąk puszczona, toczy się nadal siłą swej inercji i przytłacza, łamie, niszczy więcej, niż to czynić miała, większe zagarnia tereny, niż miała zagarniać. Dlatego lata powojennej odbudowy są nadewszystko okresem walki z duchem wojny.

Pierwsze lata powojenne są zawsze okresem najbardziej wzmożonej przestępczości, powszechnego rozleniwienia, szału zabawy, pijaństwa i samobójstw.

Rodzi się wówczas nowa klasa społeczna. To ci, o których dwadzieścia trzy stulecia temu mówił Demostenes: „Jedni z dziadów stali się bogaczami, inni ze skromnych stosunków przyszli do znaczenia, niektórzy budowali sobie kamienice okazalsze od budowli publicznych, a im potęga państwa bardziej podupadała, tem bujniej wzrastają ich fortuny“.

Historyk francuski Ludwik Madeline w książce p. t. „Francja Dyrektorjatu“ (1795 — 1799) na podstawie licznych pamiętników daje następujący obraz ówczesnego życia: „Rozkwit życia spekulacyjnego, szał tańca i zabaw, niepojęta popularność aktorów, całkiem nowy kult dla sportu i siły fizycznej, obżarstwo tłumu, gdy tylko ma kilka groszy do wydania, brak poczucia piękna w środowiskach dorobkiewiczów, zanik życia rodzinnego i ruina ogniska domowego, kryzys dusz, które chwilowo wyrwane z tradycyjnej wiary, popadają w zabobony, nieprawdopodobna cena środków żywności, która większość wtrąca w skrajną nędzę, wreszcie demoralizacja, ogarniająca od góry do dołu całe społeczeństwo. Przytem — prawdziwy najazd nowobogaczy: fatalne następstwo politycznego i społecznego przewrotu“.

Nieunikniony po każdym kataklizmie politycznym, czy społecznym, po każdej wojnie i po każdej rewolucji chaos gospodarczy sprzyja łatwym zyskom bardziej przedsiębiorczych jednostek, żerujących na niedoli mas zbiedzonych. Powstała znowu klasa świeżo wzbogaconych. W atmosferę społecznego życia wnieśli oni swoje upodobania, umocnili kult pieniądza, za wzór sobie postawili Trymalchjona, który uważał, że niema cenniejszego człowieka nad dobrego ku-

charza, a „filozofów nie słuchał“. Ów wzbogacony spekulant, jak Trymalchjon „korcem zwykł mierzyć pieniądze“ i jak on na swoje uczty zaprasza zbiedzonych Petronjuszów, którzy już tym razem — niestety! — przybyli z osłabioną dumą i ambicją, jakby godząc się z perskiem przysłowiem, że „nawet do psa bogatego pana mówić trzeba: wasza psia mość“. Kupując wszystkich i wszystko, dając widowisko publiczne niepohamowanej żądzy użycia, spekulanci powojenni podsycali tę samą żądzę w warstwach innych. Nastąpiło zmaterjalizowanie społeczeństwa, które objęło również najmłodsze pokolenie. Nastały czasy niemal takie, jakie zdawał się przewidywać Karol Beaudelaire, który w „Mojem sercu obnażonem“, zasępiony upadkiem człowieka „zaznaczał swój gniew“: „Twa córka, o mieszczaninie, w swej dziecięcej dojrzałości, będzie śniła w kolebce, że się sprzedaje za miljon — także i ty sam, o mieszczaninie, jeszcze bardziej pozbawiony poezji, niż dzisiaj, nie znajdziesz jej nic do zarzucenia, niczego nie będziesz żałował. Bo są w człowieku rzeczy, które się wzmacniają i kwitną w miarę, jak inne zanikają: dzięki postępowi tych czasów we wnętrzu zostaną ci jeno jelita. Te czasy są może już bliskie“.

Pęd powszechny ku doraźnym korzyściom materjalnym wprowadził chwilową degradację intelektu, którego twórcza praca sięga zawsze w przyszłość dalszą. Stąd — zachwianie się społecznej pozycji człowieka nauki. Stąd pognębienie inteligencji, która popadła w biedę materjalną i stan depresji moralnej. W świadomości szerokich mas wzrósł urok silnych mięśni.

Nie harmonja pomiędzy duchem a ciałem, ale dysharmonja na niekorzyść ducha, ale wielki, jaknajwiększy przywilej materji we wszystkich dziedzinach zbiorowego życia — oto górująca cecha doby powojennej, zdobywająca placówkę po placówce, narzucająca nową ocenę pracy i twórczości, naginająca do swoich racji wszystkie funkcje machiny państwowej.

Pracownik umysłowy, sternik świata, budowniczy przyszłości, siewca najwyższego dobra, staje się parjasem społecznym, usuniętym w cień przez triumfujące chwilowo i krótkowzroczne prostactwo. Ów najniezbędniejszy stał się w opinji szerokich mas niegodnym szczególnej opieki.

Hypertrofja emocji politycznych wprowadziła zobojętnienie względem spraw natury kulturalnej. Ta to hypertrofja wynosi na widownię publiczną przedewszystkiem działaczów politycznych. Trybuna wiecowa, czy parlamentarna absorbuje społeczeństwo silniej, niż wszystkie instytucje kulturalne razem wzięte, mimo, iż nieraz jeden uczony w cichem swem laboratorjum niesie społeczeństwu większe dary i donioślejsze zmiany, niż tysiące wieców.

Demagog zagłuszył człowieka światłego i poszedł w tłum, któremu niesie wszechlekarstwo w hasłach i doktrynach. Uzyskał największy posłuch mas, które wodzi na partyjnym pasku, wbijając w głowy „niezawodne“ pewniki. Nowoczesny Kato Stary powtarza swój lejtmotyw: „Takie jest moje zdanie, oraz żeby Kartaginę zburzyć“, a jego przeciwnik, nowoczesny Publjusz Nazyka, zrywa się natychmiast i woła: „Tego zdania jestem i żeby Kartaginę zostawić“.

Część słuchaczów powtarza słowa Katona, część żądanie Scypiona, jaknajmniej myśląc o tem, czemu to Kartaginę trzeba zgładzić, lub czemu należy ją zostawić w spokoju.

Myśl odpowiedzialna gnana jest zewsząd przez fanatyzm po wojnie wzmożony. Łatwiej byłoby własnemi rękami przekopać tunel w górach Himalajskich, niż do głowy fanatycznej wprowadzić jedną myśl krytyczną. Natomiast fanatyzm umiejętnie eksploatowany daje duże zyski demagogom. Otworzył się po wojnie szerszy, niż kiedykolwiek, teren zarobkowy: zawód polityka. Wzrosło też znaczenie politycznej retoryki, którą Platon nazwał „sztuką schlebiania ludowi". Wzmogła się zajadłość w walce stronnictw, a człowiek partyjny stał się w swoich zwyczajach, jak ów znany na Jawie smok latający Varanus Salvator, który w walce z wrogiem, przybierając pozycję zaczepno-odporną, pragnie go przedewszystkiem przerazić i tak układa swoje ciało, by wydać się większym i straszniejszym, niźli jest istotnie.

Po wszechświatowej wojnie, która w oparach krwi niosła światu miraż natychmiastowego odrodzenia, nagłej ku lepszemu odmianie, nieznanego w dziejach wzniesienia się na wyższy poziom duchowy życia jednostek i narodów, nastały dni zamętu, kryzysu i największego trudu w wydobywaniu się z matni zgotowanej miljonami rąk: forum międzynarodowe nie daje bezzwłocznych i trwałych rozstrzygnięć, w wewnętrznem zaś swojem życiu narody nie dźwignęły się moralnie.

Z przyczyn natury gospodarczej nad wszystkiemi dziedzinami zawisła klątwa tymczasowości, zarówno w stosunkach międzynarodowych, jak i w każdem poszczególnem państwie, jak w każdem środowisku społecznem, jak wreszcie w życiu jednostki. Polityka paljatywu, polityka ostatniej chwili, rządzenie z dnia na dzień, system życia oparty na szukaniu i zdobywaniu środków doraźnych, brak busoli i brak perspektywy — oto znowu cecha epoki powojennej.

Dość to powodów, by niejeden umysł, przerażony takiem widowiskiem, doszedł do wniosków tragicznych, przytakując powszechnemu rozczarowaniu. Jeden z wielu dzisiejszych pesymistów Francuz, George Batault, w książce p. t. „La guerre absolue" pisze:

„Widzimy ludzkość oszalałą, ślepą przez swe namiętności, zbłąkaną przez swoje sny i biorącą ostatnie błyski zachodzącego dnia za świt przyszłości, ludzkość, zbryzganą potokami krwi, ciągnącą ku przepaściom nocy. Widowisko takie w sercu myśliciela, który już nie wierzy w mądrość tłumów, w postęp i wiek złoty, budzi uczucie dotkliwego smutku i ogromnej litości dla ludzi". (Str. 116, 117).

Po rozczarowaniach wojny niektórzy myśliciele w rozpaczy załamali ręce, rzucili klątwę na wszystkie szaleństwa epoki, zapowiadając rychły koniec cywilizacji europejskiej. Nic już nas nie uratuje. Jesteśmy w agonji. Straciliśmy rozum. Obracamy się w błędnem kole przeciwieństw, wciąż umacniając wszystkie węzły gordyjskie zbiorowego życia. Zatraciliśmy poczucie odpowiedzialności dziejowej. W moralności — Sodoma i Gomora, w polityce — obłęd

destrukcji, w kulturze — wynaturzenie, w życiu gospodarczem — chaos. Zaś w naszych sposobach ratowania się jesteśmy wszyscy, jak ów z bajki niemieckiej baron Münhausen, który z błota sam chciał wyciągnąć się za włosy. Próżne wysiłki, płonne nadzieje. „Padamy na wzór państwa rzymskiego — pisze Oswald Spengler („Untergang des Abendlandes"), padamy nieuchronnie i bez ratunku, z tą różnicą, że umierać będziemy z całą świadomością, badając wszystkie stadja rozkładania się z biegłością doświadczonego lekarza".

A więc nie pomogą nawet trafne djagnozy, nie pomoże samopoznanie i pełna świadomość stanu rzeczy. Głos beznadziejności rozlega się nietylko wśród narodów, które w wojnie wszechświatowej poniosły klęskę i przeto podatne są bardziej podszeptom krańcowego pesymizmu. Również wśród narodów zwycięskich, a nawet tych, które wskutek wojny odzyskały niepodległość, słychać nowoczesne trąby archanielskie, zapowiadające bliski już Sąd Ostateczny. Grozę beznadziejnego jutra maluje n. p. pisarz angielski G. T. Masterman w dziele p. t. „England after War". I w Polsce daje się również słyszeć bolesny jęk katastrofizmu. Uczony polski, prof. Marjan Zdziechowski w książce „Europa, Rosja, Azja" pisze: „W epoce, daj Boże, najkrótszej tryumfującego zła, w którą przyszliśmy, a która przynajmniej w mojem indywidualnem uczuciu i przeczuciu, niesie ze sobą dobrą nowinę, zwiastującą koniec nietylko Europy, ale świata, ludzkości..." i t. d. Tak oto uczony polski daje wyraz uczuciu, które Dostojewski nazywa „katastroficzeskim mirooszczuszczenjem".

Widząc już w niedalekiej przyszłości wielki cmentarz cywilizacji europejskiej i tak melancholijną myślą wędrując pomiędzy grobami narodów, zapowiadają, a nawet z uczuciem przychylności wypatrują najścia na Europę nowych Dżengischanów, którzy pochłoną nas prawem silniejszego i zdrowszego, ażeby tworzyć świat nowych wartości na gruzach i ruinach, wśród których giniemy. Już z niejaką lubością samoudręczenia wita się tu i ówdzie słowa synów Wschodu, ukazujących nam, wielkim bankrutom, rzekomą wyższość i wszystkie wspaniałości innej kultury i cywilizacji. Rabindranath Tagore zdobył większą u nas popularność, niż nasi najwspanialsi pisarze — cóż za głupstwo! — a Mahatma Gandhi większy entuzjazm, niż najśmielsi reformatorzy i rewolucjoniści Europy.

Do takich krańców pesymizmu dotarła myśl objęta paniką i przerażeniem.

Nie jest to nowe zjawisko w dziejach ludzkich. Po każdym kataklizmie, przychodziła najpierw epoka przełomu, nie zaś cudotwórcze światło nowej ery. Kto w pożarach rewolucji, czy wojny chciał widzieć zapowiedź natychmiastowej, całkowitej i radosnej odmiany życia zbiorowego, a nawet przeistoczenia natury człowieka, ten zawsze doznawał srogiego zawodu. Raj na ziemi, albo koniec świata. Wielki tryumf dobra, albo zagłada i śmierć. Pomiędzy tymi biegunami szamoce się myśl oderwana od rzeczywistości i przerzucająca się ze szczytów optymizmu w otchłanie rozpaczy.

Rzeczywistość powojenna jest okresem męki porodowej narodów i państw. Jest to epoka gorączko-

wych odruchów, wyjaskrawionych przeciwieństw, tysiąca prób społecznego i politycznego znachorstwa, epoka popłochu, w której padają dawne bożki, rozwiewają się dawne fikcje i sugestje, do archiwum dziejowego przechodzą dawne kryterja, by ustąpić miejsca niewyraźnie jeszcze zarysowującym się nowym wartościom, normom, drogowskazom.

Na miejsce rzeczy już nieprzydatnych i przebrzmiałych ludzkość nie ustawia w spokoju rzeczy nowych, już wypracowanych i gotowych. Wprzódy popada w kryzys duchowy i cywilizacyjny impas. Tak po latach kataklizmu kształtuje się przyszłość świata. Te lata można raczej porównać do trzęsienia ziemi, niż do uroczystej intronizacji nowych panujących. Kto zbyt niecierpliwie pragnął ujrzeć tę intronizację, najczęściej zbacza na drogę rozpaczy, zniechęcenia i niesmaku, a tu już napewno nie znajdzie lampy Alladyna, ale raczej harfiarkę z „Wyzwolenia“, która „strunę liry trąca, jakby to słowo „nic“ dzwoniąca“.

„Cięży mi dzisiejszy świat — mówi jeden z bohaterów powieści Wellsa („Tajemnicze zakątki serca“) świat szaleńców i zwierząt, świat idjotycznych tradycji i głupich ograniczeń. Obrzydły mi nasze prawa i zwyczaje, nasze zmurszałe państwa, nasze flagi i parady. Obrzydł mi Londyn ze swym marnym i służalczym życiem, obrzydły mi teatry, książki i to wszystko, co ludzie nazywają przyjemnością. Obrzydli mi ludzie ze swoimi pretensjami. Niech djabli porwą wszystkie „ludowe“ uczucia. Obrzydli mi spekulanci, politycy i cały ten nieład, tkwiący wszędzie

i we wszystkiem. Obrzydła mi Francja i całe anglosaksońswo i Niemcy ze swem narzekaniem i bolszewicy ze swym fanatyzmem, tudzież Irlandja zielona i pomarańczowa, południowa i północna“.

Na drogach nudy i niesmaku nie znajdziemy prawdy o dzisiejszym świecie.

ŚWIATŁO EPOKI

Obraz męki i grozy współczesnego życia wywołał reakcję przeciw idealizmowi, który rzekomo zbankrutował. Już mu się śpiewa hymny pogrzebowe, albo poprostu zbywa się go lekceważeniem i drwiną. Przecież nie stało się światło, przecież nie spełniły się utopje, przecież nie nastąpiło odrodzenie ludzkości. Idealizmowi postawiono we wszystkich sprawach niedorzeczne terminy i pośpiesznie uznano, że już poniósł ostateczną klęskę. Swoje zwycięstwo proklamował ten, który nazywa się człowiekiem realnym.

Tak zwany realizm dzisiejszy uczy nadal trzeźwości i nadal ponosi najdotkliwsze porażki. Bo wszystko rozumie i doskonale widzi, lecz... nie dalej swego nosa. Tragedja jego mądrości polega właśnie na tem, że życie świata toczy się na terenach nieco szerszych, niż te, jakie t. zw. człowiek realny potrafi objąć swoim wzrokiem. Gniewa się na rzeczywistość, która na jego nieszczęście ma to do siebie, że jest wielka. On zaś chciałby swym łokciem wymierzyć nieskończoność. Wtrącając się do wielkich spraw współczesnego świata, przypomina ślepca, który klnie ruch wielkomiejski, bo nie może przejść spokojnie z jednej strony ulicy na drugą. Tego typu realizm urobił sobie własne, na własny użytek pojęcie idealizmu. W świecie idealizmu widzi tylko motyki wzniesione ku słońcu, widzi tylko walkę z wiatrakami, widzi robotę szaleńców, to tylko widzi, co pozwala

mu łatwiej umocnić swoją we własnej opinji rację i powagę. I cóż za widowisko: realizm ten walczy na wszystkich frontach z idealistyczną „donkiszoterją“, a życie w swoich zmianach i przewrotach przekracza wyobraźnię Don Kiszotów!

Są politycy, którzy z doskonałą zręcznością potrafią wytrącać motyki z rąk ludzi, wybierających się na walkę ze słońcem, ale nigdy nie spojrzą na sejsmograf, zapowiadający trzęsienie ziemi.

Realizm istotny tworzy przyszłość świata tylko w przymierzu z idealizmem. Pierwszy musi w swojej pracy brać pod uwagę to, co drugi widzi swym bystrzejszym wzrokiem.

Zwycięstwa i klęski idealizmu mierzyć można tylko w wielkich ramach czasu. Idealizm powojenny nie stracił swoich argumentów, ani też nie odłożył swej broni. Przeciwnie, wdziera się i przenika wszędzie, na wszystkie tereny współczesnego zła i daje znać o sobie — tu muśnięciem skrzydeł, tam światełkami, a gdzieindziej płomieniem.

Nie umarli ani Ormuzd, ani Prometeusz. Nie zamilkła tęsknota twórczego ducha, spętanego kajdanami, ukutemi przez bogów i ludzi. Żyje i odzywa się w miejscach najmniej spodziewanych.

„Dzisiejsze zadanie Don Kiszota? — pyta pisarz hiszpański Miguel da Unamuno. — Krzyk w pustyni! Jeżeli ludzie nie usłyszą, to usłyszy pustynia i może dnia pewnego zmienić się ona we wspaniały las, gdzie narody świata we wszystkich językach będą śpiewały chwałę Stwórcy“.

W ruinach moralnych współczesnego świata rodzi się w mękach nowe życie. Trzeba dobrze wzrok wytężyć, by w odmęcie zła dojrzeć pocieszające nowiny. Nie mylił się Adam Mickiewicz, kiedy pisał: „Każda epoka ma udzieloną sobie pewną miarę ciepła i światła. Zasób ten stanowi żywot epoki i jaki był na czasy upłynione, już się wyczerpał. Potrzeba nowego zasiłku dla ludzkości, potrzeba nowego datku na wysnucie epoki nowej“.

POSTĘP

ZMIANY. Znakomity myśliciel polityczny XIX-go stulecia, A. de Tocqueville w dziele p. t. „De la democratie en Amerique“ pisał: „Nikt stanowczo i z całą ścisłością nie może twierdzić, że dzisiejszy porządek społeczny jest lepszy, niż dawny, ale każdy spostrzec może bez trudności, że czasy teraźniejsze są inne.“ To samo moglibyśmy powiedzieć o dzisiejszym „porządku społecznym“, gdybyśmy się posunęli jaknajdalej w sceptycyzmie. Czasy teraźniejsze są inne. Oto jest prawda naczelna i podstawowy punkt wyjścia we wszystkich istotnie twórczych poczynaniach.

Dużo rzeczy zmienia się na świecie. Nawet ludzie o wzroku niebystrym mogą zauważyć niejedną różnicę między tem, co się dzieje dzisiaj, a co działo się niedawno. W wielu środowiskach, gdzie przez długie lata nic się nie zmieniło, duch postępu składa swą wizytę i zmusza do nieprzewidywanych nigdy inowacji. Lecz są ludzie w myśleniu swem podobni do hinduskiego szybkobiegacza, który całe życie ciągnie dwukołowy wózek (zwany „punkhą“) a na zapytanie, czemu nie zmienia zajęcia na lepsze, odpowiada z dumą: „Mem-sahib, mój ojciec ciągnął punkhę, mój dziad ciągnął punkhę, moi przodkowie od miljonów lat ciągnęli punkhę, a przed nimi punkhę samego Wisznu ciągnął bóg, który założył kastę szybkobiegaczy“. Ten biedny hindus nie widzi, że i jego kasta

zaniknie. Środki komunikacje są już inne — również w Indjach.

Niepraktycznie jest nowej rzeczywistości nie widzieć. Traci się wówczas energję w walce z tem, co się narodziło, co jest i być musi. Donkiszotyzm wstecznictwa jest jeszcze bardziej szalony, niż największe warjactwa wywrotowców.

OPTYMIZM I PESYMIZM. „Jest — pisał Nietzsche — jedna rzecz jeszcze głupsza, niż optymizm: to pesymizm.“ I optymizm i pesymizm — żadna to postawa w ocenie zjawisk życia, żadna filozofja. Humor, albo brak humoru, t. zw. różowe, albo czarne okulary — optymistyczny żart o życiu, albo melancholijna o niem brednia. Te okulary ubarwiają lub zaciemniają rzeczywistość. Bawią fikcją, albo zasmucają ponurym nastrojem. Nie dają sądu.

Jesteś optymistą? Więc mówisz z radością, że już rozpoczęła się nowa era w dziejach świata, że już, już spełnia się ewangeliczne proroctwo o przekuciu mieczów na lemiesze, że oto nareszcie jesteśmy świadkami tryumfu solidarności międzynarodowej, która sprowadzi wieczny pokój i wieczną sprawiedliwość na ziemi.

Jesteś pesymistą? Ostrzegasz przed złudzeniami? Zalecasz mądrość „realizmu“, który przecież nie zapowiada nic dobrego. Przypominasz różne momenty z historji, kiedy ludzie oddawali się już podobnym złudzeniom, różne miraże biorąc za rzeczywistość, a potem... potem wszystko było po staremu. A więc — nieustanna, zbędna i beznadziejna praca Danaid!

Od początku świata prowadzicie tę dyskusję. Z pośród was ów weselszy jest niby dziecko cieszące się wszystkiem, zaś ten smutniejszy przypomina chorego filozofa, o którym powiedział Schopenhauer: „Nie mam zaufania do światopoglądu człowieka, który ma wrzód w uchu.“ Rozmawiajcie dalej, nie krępowani prawdą życia, która nie jest ani „różowa“, ani „czarna“ i znajduje się w wielkiej od was odległości.

NATURA LUDZKA. Kto nie dostrzega lub dostrzegać nie chce działania postępu w historji, rad zawsze powiada: cóż t. zw. „postęp“? — jest rozwój techniki, zmieniają się formy życia, ale człowiek w naturze swej jest zawsze ten sam.

„Nie znam — pisał Pascal — duszy zbrodniarza, znam duszę człowieka uczciwego: jest straszna“. Jeśli tak, czem jest postęp?

Postępem jest ulepszanie się stosunków międzyludzkich. Postępem jest zmniejszanie zła, zadawanego człowiekowi przez człowieka i naturę. Drogą przymusu i drogą nauki. Natura Anglika zapewne nie zmieniła się w ciągu lat kilkudziesięciu, ale już nikt w Anglji nie skaże dziewięcioletniego dziecka na śmierć za to, że rozbiło wystawę sklepową i skradło z niej farbę wartości dwóch pensów, jak to było w roku 1873-cim!

Może nie myli się Gobineau, gdy powiada: „L'homme, l'animal méchant par exellence“, ale minęły czasy niewolnictwa! Może mają słuszność ci, którzy powtarzają za Plautusem, że „człowiek człowiekowi wilkiem“, ale we wszystkich dziedzinach zbiorowego życia następuje okiełznanie bestji ludzkiej Przez nowe prawo. Wyzysk człowieka przez czło-

wieka nie ustał, ale wciąż zwężają się tego wyzysku granice. W upośledzonych masach, więc wśród ogromnych większości rodzaju ludzkiego, budzi się człowieczeństwo. Niewolnik protestuje i zwycięża. Chwile jego przebudzenia są niekiedy straszliwe, ale i życie jego było gehenną i piekłem na ziemi.

Więc — postęp we współżyciu, bez względu na niezmienne, jeśli niezmienne, cechy natury ludzkiej. Ludzkość tworzy coraz silniejszy system opanowywania swoich złych instynktów. Jeśli człowiek jest w naturze swojej zły, to — rzecby można — w ulepszaniu społecznego życia walczy z sobą samym i w tej walce odnosi zwycięstwa.

WROGOM TECHNIKI. Słyszymy często, że „rozwój techniki zagraża światu ducha.“ Pocóż — pytają — zwiększać potrzeby człowieka? Dlaczego oddalać się wciąż od natury? Na co zwiększać tempo życia? Należy raczej bronić się przeciw szałowi technicznemu naszych czasów!

Są to pytania i tezy dyktowane przez instynkt antycywilizacyjny, najsilniej rozwinięty tam właśnie, gdzie „świat ducha“ jest bardzo ubogi, za to dużo ciemnoty i duchowego lenistwa.

Czy odkurzacz elektryczny przeciwstawia się rozkoszom kontemplacji i nie pozwala wznosić się w najwyższe regjony metafizyki?

Czy aeroplan zabija myśl filozoficzną?

Czy radjo szkodzi religji i poezji?

Któż wysuwa takie zagadnienia? Dystyngowani barbarzyńcy, pogrążeni w kwietyzmie i spokoju, nie rozumiejący, że świat ludzki chce ułatwić i ulepszyć

swoje życie. Miło takim wrogom elektryczności przy pięknych kandelabrach ze świecami. Wspominają dawne czasy i sławią dyliżans. Źle mówią o teraźniejszości i pokazują piękne książki, pisane na pergaminie — z marginesami bardzo misternemi.

Piękne czasy? Dla kogo piękne? Dla garstki „szczytów“, które żyły wielowiekową nędzą fizyczną i moralną mas. One nie miały dostępu do wszystkich tych uroków przeszłości, nie jeździły dyliżansem, nie czytały dzieł na pergaminie pisanych, nie miały przepięknych świeczników. Więc nie szkoda, że mają pociąg, drukowaną broszurę i lampkę elektryczną.

Idzie chłop przez pole za pługiem... Ładny, wzruszający widok. „Szczęść Boże!“ „Daj Panie Boże!“ Pięknie. Ale z chłopa pot się leje, chłop niepotrzebnie niszczy zdrowie i niepotrzebnie traci tyle energji. Nowoczesna maszyna rolnicza wszystko zrobi i prędzej i lepiej. Bez takiej męki ludzkiej, która tylko zdaleka wygląda tak rzewnie i tak wzruszająco.

We wszystkich dziedzinach pracy ludzkiej postęp techniczny niesie wyzwolenie z pod jarzma męki fizycznej, wyzwala człowieka z klątwy „potu czoła“ i wznosi go na wyższy szczebel życia, tam, gdzie właśnie otwierają się przed nim nowe horyzonty duchowe.

Tryumfy techniki zmieniają obraz społecznego życia, służą szerokim masom, cywilizują je, podnoszą kulturalnie.

Komu się to niepodoba, niech idzie w las, w pustynię, w góry. Mało będzie takich. Większość woli dobry obiad w porządnej restauracji, mimo... elektrycznego oświetlenia.

RADIO. Czytam, że król Kambodży, Sisowath, liczący obecnie 92-gi rok życia, sprowadził sobie aparat radjotelefoniczny i koncertami, płynącymi z różnych krańców świata, zabawia się wraz ze swemi licznemi żonami. I król i damy haremowe mają rozrywkę, o jakiej nigdy nie śnili, sądząc, że dobry Sziwa zesłał im już wszystkie rozkosze i wszystkie, raz na zawsze ustalone prawa niezmiennego trybu życia. Radiotelefon w haremie króla Sisowatha jest wymownym dowcipem epoki.

Dwadzieścia pięć lat temu fizyk angielski Wiliam E. Ayrton wypowiedział następujące proroctwo: „I przyjdzie dzień, kiedy człowiek pragnący mówić ze swym przyjacielem, a nie wiedzący, gdzie się znajduje, zawoła nań głosem elektrycznym, który usłyszy jedynie ten, kto mieć będzie tak samo nastrojone elektryczne ucho. „Gdzieżeś jest“? — A odpowiedź zabrzmi w uszach: „Jestem na dnie szybu, albo na szczycie Kordyljerów, albo na falach oceanu.“

Radjo jest olśniewającym środkiem upowszechnienia cywilizacji. Trafiając wszędzie, może przynieść światło wiedzy i kultury do zaścianków i zakamarków, tam, gdzie jest umysłowa noc, zacofanie, zastój i ciemnota. Radio jest genjalnym rozdawcą wiadomości o świecie. Rozszerza przez to widnokręgi myśli, bogaci wyobraźnię, ukazuje węzły, łączące ludzi wszystkich plemion, ras, narodów. Radio stanie się największem dobrodziejstwem w pracy oświatowej i pomniejszy kontrast cywilizacyjny, jaki istnieje pomiędzy t. zw. szczytami społeczeństwa, a poziomem szerokich mas: ułatwi naukę, spopularyzuje zdobycze umysłu ludzkiego. Jest to nowa potęga demokratyzująca życie zbiorowe. W epoce przełomu, kiedy w trudzie i mozole rodzi się nowe życie świata, zjawiło się radio, jako potężny współczynnik powszechnej odmiany.

ANACHRONIZM. Walka z wolnością słowa i przekonań staje się anachronizmem. Resztki sensu odbiera tej walce — radjo. Genjusz wynalazczy ośmieszył rolę cenzora. Cenzor nie może się usadowić w przestworzach i regulować, zmieniać, powstrzymywać fal idących ze stacji nadawczych. Tak oto postęp techniczny godzi się z postępem społecznym, pomaga zasadom wolności i demokracji.

O DACIE HISTORYCZNEJ. Ileż to spraw, które uważamy dziś za najbardziej doniosłe, zmaleje już w niedalekiej przyszłości, a kiedyś całkiem zginie w niepamięci. Setki i tysiące tragedji, setki i tysiące komedji zginie w nurtach Lety, tylko rzeczy pewne, znaczące drogi historji, przeistaczające obraz życia człowieka na ziemi, pozostaną w pamięci pokoleń. Zgiełk kwestji dziś „palących“ ucichnie, zastąpią je inne, a tylko sprawy i daty niektóre będą w księdze dziejów zapisane trwałemi znakami.

Do takich dat będzie niewątpliwie należał dzień 21-y maja 1927-go roku, w tym dniu bowiem Karol Lindbergh, „Kolumb powietrza“ przeleciał ponad Oceanem Atlantyckim, odbył lot z Nowego Jorku do Paryża w ciągu 33 godzin i 32 minut bez lądowania. Data zwycięstwa, które najpewniej będzie prześcignione, lecz nie będzie zapomniane nigdy. Z racji swego znaczenia w dziejach walki człowieka z czasem i przestrzenią. Z racji tej, że człowiek w zma-

ganiu się wieczystem z żywiołami natury, stał się większy.

Kiedy w roku 1905-ym lotnicy Farman i Wright, pierwszy w Paryżu, drugi w Nowym Jorku, wznieśli się na wysokość 20 metrów i utrzymali się w powietrzu trzy minuty, wrażenie w całym świecie było potężne. Nikt wówczas nie przypuszczał, że już za naszych czasów lotnik przeleci 6.000 kilometrów bez lądowania. Wobec nieustającego postępu w tej dziedzinie powiedzieć możemy: człowiek w walce z czasem i przestrzenią, dzięki swej niepohamowanej ambicji i dzięki rozwojowi wiedzy, odniesie prawdopodobnie za naszych jeszcze czasów takie zwycięstwa, jakich dziś nie potrafimy sobie wyobrazić.

Pisarz francuski, Paweł Morand, w książce p. t. „Ziemia i nic więcej“ podaje taką oto rozmowę z roku 1930-go:

— Mamusiu, czy mogę dziś po obiedzie polecieć do Indji Wschodnich?

— Owszem, dziecko, poleć, ale zabierz ze sobą podwieczorek.

Nie mamy już uczucia, że ta rozmowa należy do dziedziny t. zw. czystej fantazji.

Kiedy o zwycięstwie Lindbergha nadeszła wiadomość do Nowego Jorku, we wszystkich kościołach uderzono w dzwony na znak, że w historji ludzkości stało się coś wielkiego. W miastach amerykańskich tak uroczyście obchodzono tylko dzień zawieszenia broni 11-go listopada 1918 roku.

W tłumach, tak obficie karmionych wulgarną sensacją, żyje jednak zdolność odczucia piękna i wielkości czynu, działa siła moralna, wyrażająca się

w gestach prawdziwej szlachetności. O tem pouczają nas opisy, jak wyglądał Paryż w chwili przybycia Lindbergha. To cudowne miasto odzywa się zawsze najpotężniej swoim entuzjazmem i rozumieniem spraw ogólnoludzkich. Przecież tak niedawno zginęli dwaj lotnicy francuscy, Nungesser i Coli, którzy też chcieli przelecieć Atlantyk. A tu zwyciężył cudzoziemiec. Nic to! Jest wspaniały! Niech żyje! Oddajmy mu hołd! To tryumf człowieka!

Jeżeli coś może pogodzić nas z okrutną rzeczywistością naszych czasów, to takie właśnie odruchy zbiorowej szlachetności i zbiorowego rozumu.

WIELKI DOWCIP. Wspaniały szaleniec, wzór odwagi i hartu ducha, witany z uwielbieniem i entuzjazmem przez tłumy, a z honorami przez władze państwowe, lotnik Lindbergh po przebyciu 6.000 kilometrów bez lądowania stanął na ziemi francuskiej... wbrew obowiązującym przepisom: na paszporcie nie miał wizy. Zakomunikował o tem ambasadorowi amerykańskiemu w Paryżu. Ambasador zapewnił Lindbergha, że z tego powodu nie wyniknie „ambaras“.

Nie miał wizy... Jest to wielki dowcip naszych czasów. Znakomita drwina ze starych przesądów i zwyczajów, wyzwanie rzucone duchowi anachronizmu i zastoju, świetny wyraz przepastnej różnicy, jaka dzieli dwa światy: świat rutyny, tępej inercji, martwego przepisu i świat genjuszu ludzkiego, który tworzy nowe życie, nowe warunki, w jakich przepisy wczorajsze stają się zbędne, śmieszne, głupie.

Lindbergh dosłownie i w przenośni przeleciał nad głowami biurokracji obu półkul.

Oto paradoks epoki: człowiek w walce z czasem i przestrzenią odniósł już zwycięstwa, które dyktują społeczeństwu nowe życie, a po biurach urzędniczych jeszcze niepodzielnie panuje atmosfera lat minionych, szeleści papierek-absurd, pracuje głowa-manekin, po staremu, po swojemu, jakby się nic nowego nie działo na świecie.

POMOC. Nie jest to zapewne przypadek, że olśniewające tryumfy lotnictwa widzimy właśnie w epoce przełomu, w czasie największych zmian w życiu politycznem i społecznem narodów. Jakby na pomoc nowym czasom, na pomoc nowemu układowi stosunków, przychodzi genjusz techniki wraz z bohaterską brawurą jednostek.

Narody wydobywają się powoli z powojennego kryzysu. Lecz nie, by nawrócić ku przeszłości, która zginęła nieodwołalnie, bo w sumieniu i świadomości ludów. Żyjemy przyszłością silniej, niż kiedykolwiek w dziejach. Duch powszechnej odmiany zapanował nad światem i wypowiada się w nowych urządzeniach socjalnych, w ustrojach politycznych i stosunkach między narodami. Rośnie i wzmaga się dzieło naprawy. Nadewszystko zaś — w upowszechnianiu cywilizacji i kultury. Proces ten odbywać się może jedynie w drodze wspólnego, solidarnego między narodami wysiłku. Bowiem wzmaga się nieustannie współzależność międzynarodowa w wymianie dóbr materjalnych i duchowych. Jest coraz więcej punktów stycznych w najżywotniejszych interesach państw. Stąd tyle nowych instytucji międzynarodowych, powołanych do normowania spraw wspólnych.

I oto temu procesowi zbliżania się narodów na terenie rzeczy wspólnych, przychodzi z pomocą genjusz techniki, który skutecznie działa w tym kierunku, a może prędzej i silniej jeszcze, niż niejedna konferencja. Oto znów nowy i wielki współczynnik w pracy twórczej, budującej nową przyszłość świata.

DWA POKOLENIA. — Czy widzisz, mój synu, ten wazonik. Stoi na półce już trzydzieści lat. Przetrwał różne zmiany i cieszy moje oko, jak wówczas, kiedy ciebie jeszcze nie było na świecie. A ten oto fotel! Postawiłem go ćwierć wieku temu. Stoi, jak stał.

— Nie przeczę, ojcze, że stałość pewnych rzeczy ma swój urok.

— I powagę. I głębokie znaczenie. Rozumiesz, że nie chodzi mi o wazonik, czy fotel. To tylko znaki, jedne z licznych, że w mojem życiu był plan, była konstrukcja, było opieranie się falom rzeczy zmiennych. Byłem, jak wiatr, który ugina trzcinę, nie jak trzcina, którą wiatr ugina. Nie jak ty, nie jak wy wszyscy dzisiaj...

— Bo wiatr jest teraz niepomiernie potężniejszy. Burzy wszystko.

— Nie wszystko. Popadliście w słabość i chwiejecie się przy każdym kroku. Budujecie nietrwałe domy, a kiedy padają, winę przypisujecie żywiołom.

— Na terenie wulkanicznym nie buduje się potężnych gmachów, ale lekkie domki. Jak w Japonji. Na tymczasem. Na dziś.

— Otóż to: na dziś... Owładnął wami demon prowizorjum. Mój wazonik śmieje się z was i lituje się nad wami.

— Czy nie widzisz, ojcze, co się dzieje na szerokim świecie? Żyjemy na przełomie i niedużo wiedzieć możemy o jutrze. Tak, nastało wszechświatowe prowizorjum. Tysiąc piorunów uderzyło w ludzkość. Od skłócenia państw i narodów do wielkiego zamieszania w każdym domu i w każdej duszy ludzkiej, wszędzie — prąd przemiany. Cóż dziwnego, że nie buduję mego domu tak, jak tyś budował, że nie mam... wazoników, które stoją na swojem miejscu przez dziesiątki lat.

— Postaw je najpierw. Nie obawiaj się ciągle katastrofy. Jesteście przerażeni. Wszystko zależy od tego, kiedy z duszy waszej ustąpi strach i niepokój. Rodzaj ludzki nieraz popadał w takie prowizorjum, ale tęsknota do ładu, pragnienie rzeczy stałej, potrzeba dróg wytkniętych — zwyciężały. To, co nazywacie „warunkami zewnętrznemi“, których nie możecie opanować i które każą wam żyć tylko chwilą, to widmo w was jest, nie gdzieindziej.

— Szukamy nowych drogowskazów, a póki nie znajdziemy, żyjemy jak się da.

— Owo „jak się da“ jest klątwą pokolenia. Wam się wydaje, że wszystkie drogowskazy stoją tylko daleko przed wami. Nie widzicie, że za wami stoją również. Przeszłość nie umarła. Choć dużo się zmieniło. Człowiek ma swoje odwieczne umiłowania i potrzeby. Tak samo kocha i tak samo nienawidzi. Tak samo pragnie szczęścia i jednako ceni piękno słońca. A skoro on nie zmienił się w swych najistotniejszych potrzebach, to znaczy, że nie zachwiała się busola świata. Nauk przeszłości nie należy przekreślać.

— Nie zaprzeczysz ojcze, że idą nowe czasy.

— Nie zaprzeczę. Tylko pamiętam, że tabliczka mnożenia nie zmieniła się i nie zmieni. Tak samo tysiąc, miljon innych rzeczy. Wasze „tymczasem“, „chwilowo“, „narazie“ — płynie z przecenienia tego, co niestałe. Zacznij budować swój dom, mój synu. Weź pod uwagę wszystkie nowe zdobycze, których nie znaliśmy dawniej, ale tak jak my — buduj, mocne zakładając fundamenty. Przed domem zasadź kwiaty, które... nie zmieniły się. A kiedy żona urodzi ci dziecko, uśmiechniecie się tak, jak przed tysiącami lat uśmiechali się rodzice...

CORAZ PRĘDZEJ, CORAZ PRĘDZEJ... Na rogu ulicy stoi koń, stary przyjaciel człowieka. Opuścił łeb i zamyślił się nad swoim losem.

— O czem tak dumasz niewesoło?

— Ludzie zakochali się w maszynie... Skręcicie kark. W pośpiechu zabraknie wam tchu.

Pogładziłem mu grzywę.

— Spójrz, przyjacielu, wzdłuż ulicy. Wszystko w nieustannem pędzie. Tam i z powrotem, tam i z powrotem... Widzisz, ktoś wyskoczył z tramwaju, chociaż ma do przystanku — ćwierć minuty. Nie chce jej stracić. A ten pan z panią: poznali się dzisiaj, ona odda mu się dziś wieczorem. Nie mają czasu na wszystkie rozdziały dawnego romansu: nieśmiałe spojrzenia, nieco dłuższy uścisk dłoni, potem za tydzień, lub za miesiąc — list miłosny, potem, długo potem — pierwszy pocałunek, aż wreszcie kiedyś — upojenie. Tyle czasu, tyle czasu! Dziś ją poznał. Dziś się pokochali i dziś będzie wszystko. Kiedyżby zdążył mieć sto kobiet, nie zaniedbując przytem swoich spraw, których ma coraz więcej, coraz więcej? I kie-

dyżby ona zdążyła przeżyć wszystko, co w tych czasach przeżywa kobieta? Patrz, jak się niecierpliwi ten pan w aucie! Jeszcze mu za wolno. Ma być dziś w trzech bankach, na giełdzie, w pięciu urzędach państwowych, wieczorem na bankiecie, a w nocy wyjeżdża w pilnych sprawach zagranicę. Na nic, na nic takiemu jesteś, przyjacielu! Widzisz, jak się ten akademik spieszy? Wykłady, schadzka, dancing, pojedynek, awantura... A ten policjant! Patrz, jak prędko idzie. Tyle spraw, tyle spraw! Tłum już nie płynie spokojnie, ale przewala się i pędzi, pędzi...

— Widzę to wszystko i mówię sobie: murzyn spełnił swoje, murzyn może odejść.

— Odejdziesz od pługa, od wozu i powozu, ale nie odejdziesz zewsząd. Nie wyrzeknie się ciebie piękna amazonka, ani dzielny jeździec. Będziesz zachwycał tłumy twą najlepszą rasą — na polach wyścigowych, w cyrkach i na wykwintnych spacerach. A ponieważ będziesz mniej pracował, natomiast więcej bawił, przeto czulszą otoczą cię opieką.

— Tak, jak wasze kokoty. Schlebiasz dumie mojej rasy. Lecz cóż uczynię ja, stary już i spracowany? Co uczynią bracia moi, ani dość piękni, ani skoczni, by móc bawić wasze oczy?

— To samo, co ludzie. Co słabsze i do wielkiego pośpiechu niezdolne — ginie. Powtarzam ci: spieszymy się straszliwie. To co dzisiejszy człowiek przeżyć może, dawniejszy nie przeżyłby, gdyby na ziemi mógł bytować dwieście, trzysta lat...

— Czy wam Stwórca postawił jakiś termin, że się tak spieszycie?

RZECZY SPOŁECZNE I POLITYCZNE

ROWNOŚĆ PRAW. Demokracja jest dążeniem do upowszechnienia materjalnego i moralnego dobra. Wywalcza równe dla wszystkich prawo do zadowolenia i szczęścia. W przyrodzonej nierówności jednostek — umysłowej i fizycznej, nie widzi i widzieć nie może przeszkody w stwarzaniu równych warunków społecznych w walce o byt.

Zasada sprawiedliwości w pojęciu demokracji opiera się przedewszystkiem o równość praw.

Demokracja budzi godność w masach ludzkich.

Przeciwnik demokracji jest nieprzyjacielem ludzi.

RZĄDY DEMOKRACJI. Ostatniemi laty przyzwyczajono nas do kompromitowania demokracji, która jakoby tworzy groźną dla kultury społecznej niwelację, odsuwa od rządów jednostki najbardziej wartościowe, powołuje miernoty na naczelne w państwie stanowiska, ułatwia karjerę sprytnym kombinatorom partyjnym. Na oskarżenia te nie odpowiadajmy peanem na cześć demokracji, klątwom nie przeciwstawiajmy apoteozy, żaden bowiem system polityczny nie jest idealny. To też nie powiemy, że demokracja zawsze i we wszystkich okolicznościach prowadzi do najlepszego doboru ludzi rządzących. Dość mieliśmy dowodów, do jakich błędów może doprowadzić wadliwy sposób powoływania rządu i jacy to ludzie mogli byli zajmować najwyższe w państwie stanowiska.

Wszelako dzieje demokracji świadczą najwyraźniej, że jednostki o małej wartości, wyniesione na falach demagogji i partyjnictwa wysoko i najwyżej, niedługo cieszą się potęgą swoich wpływów, a przytem to nawet krótkotrwałe powodzenie miernot jest zjawiskiem coraz rzadszem. Demokracja tworzy tak żywy i silny czynnik kontroli publicznej, tak zbawienny wpływ wolności krytyki, że wobec tej kontroli i krytyki nie mogą ostać się przypadkowe „wielkości“. W dzisiejszych państwach demokratycznych, gdzie rządy opierają się o większość parlamentarną, nie widzimy, by u steru rządów znajdowali się ludzie bylejacy, by władzę posiadał tam „the man of the street“, człowiek ulicy, którego jakoby demokracja tak wielbi i tak wyróżnia. Nie możemy tego powiedzieć o rządach w Anglji, we Francji, w Niemczech. Stwierdźmy — przecież na korzyść demokracji — że rządy w tych państwach składają się z ludzi bardzo wybitnych.

Istnieje w niejednem państwie różnica pomiędzy poziomem parlamentu a poziomem rządu. Ten ostatni stoi nieraz wyżej od ogółu posłów. Dowód to, że parlament potrafi uznać wyższość jednostek najzdolniejszych i dać im władzę.

RÓWNE PRAWO GŁOSOWANIA. Prawo to daje dodatnie wyniki w procesie upowszechniania materjalnego i moralnego dobra. Dzięki temu prawu w parlamentach i radach miejskich znaleźli się przedstawiciele ludu, który dobrze wie, jakie ma potrzeby, choć niedokładnie widzi drogi ku ich zaspokojeniu

wiodące. Ale bez swych przedstawicieli nie wywalczyłby drogą prawną niczego.

Instynkt społeczny prowadzi masy w kierunku zasady: równe dla wszystkich prawo wybierania nierównych sobie. O tym instynkcie mówi nam cały obraz życia politycznego w państwach demokratycznych. Wybrani przedstawiciele poszczególnych ośrodków wyborczych stoją intelektualnie wyżej, niż te ośrodki. Analfabeci nie wybierają analfabetów. Wyborcy idą do urny z uczuciem, że wybierają kogoś nierównego sobie, kogoś zdolniejszego, bardziej nadającego się do pracy politycznej, niż zwykły przechodzień. I to uczucie jest dobrym instynktem, który nie zawodzi.

Gdyby masy, korzystające z równego i powszechnego prawa wyborczego, powoływały do parlamentów i samorządów tylko takie jednostki, których poziom równa się poziomowi mas, akt wyborczy nie byłby aktem postępu. Przeciwnie: prowadziłby do rządów ochlokracji. Takich jednak rządów w państwach demokratycznych niema. Każde środowisko wybiera jednostki wybitniejsze, niż przeciętny wyborca. Wartość tych wybranych może być różnie oceniana, ale to już inna sprawa: nie postawimy przecież demokracji zarzutu, że nie wybiera platońskiego rządu mędrców. Byłaby to polemika niepoważna. Takich rządów nie widzieliśmy również w innych systemach politycznych.

Poziom parlamentu jest zazwyczaj wyższy, niż poziom ogółu wyborców, zaś poziom jednostek wchodzących w skład rządu wyższy z kolei, niż poziom ogółu posłów.

KARTKA WYBORCZA. Gdzież to te czasy, kiedy zasada równego prawa wyborczego wydawała się rewolucyjnem szaleństwem, najbardziej niebezpiecznem dla państwa, groźnem dla cywilizacji? Opierały się tej zasadzie wszystkie rządy świata, a z nimi również warstwy oświecone, nie wyobrażając sobie, by człowiek ubogi mógł mieć w czemkolwiek to samo prawo, co zamożny. Wszędzie i po wszystkie czasy mówiono o rządach ochlokracji, które zahamują postęp i zniszczą dobytek kultury. Wszędzie chciano się trzymać zasady: najpierw oświata, potem prawo, nie dając przytem oświaty, którą dla ludu wywalczyła właśnie demokracja. Hasło równości obywatelskiej wydawało się czemś z piekła rodem, czemś, co przeczy rozumowi, nauce, moralności. Dziś ta zasada nie budzi przerażenia, choć żyją jeszcze dawne uprzedzenia i przesądy.

Długie sznury obywateli, sunące ku urnie wyborczej — ten obraz już nie wywołuje grozy, chociaż wśród „indywidualistów“ dawnego typu może budzić niesmak, że oto coś tak mocno godzi w przywilej urodzenia lub kieszeni. Widok tłumu wyborców nie zapowiada społecznego kataklizmu. Przeciwnie, kartka wyborcza jest jak piorunochron, zabezpieczający gmach społeczny przed wybuchami nagromadzonej energji niezadowolonych. Sprowadza wolę zbiorową na drogi ewolucji. Jest też wskazówką, w jakim kierunku zdąża postęp społecznego życia.

A przecież w imię kartki wyborczej dużo polało się krwi. O tej kartce krzyczano w walkach ulicznych, na barykadach i w murach więziennych. Dziś trudno sobie uprzytomnić, że zasada tak rozumna, tak elementarnie słuszna, tyle wymagała ofiar. Wybory polityczne stanowią dziś jedną z podstawowych funkcji społecznego organizmu.

Kartka wyborcza jest radosnym znakiem pokonania tyranji, świadectwem obudzonej godności ludzkiej i obywatelskiej wśród szerokich mas, które przestały być tylko biernem narzędziem wyzysku, tylko bydłem roboczem, odgrodzonem od wszystkich walorów kultury i cywilizacji, trzymanem w ryzach przez organizatorów ciemnoty.

Jest nadto kartka wyborcza znakiem współodpowiedzialności za bieg spraw życia zbiorowego, za przyszłość.

ZAGADNIENIE NACZELNE. Demokracja rozbudza ambicje kulturalne w masach zarówno przez szerzenie oświaty, jak i przez udostępnianie dóbr kulturalnych w licznych instytucjach społecznych. Walczy nadewszystko z nędzą, która od kultury i cywilizacji oddala. Demokracja zawiera w sobie całą treść etyki społecznej. Wszystkie doktryny arystokratyczne są ulepione z egoizmu, a w najlepszym wypadku okraszone filantropją, która, jako system działania społecznego, przechodzi do wspomnień historycznych. Pojęcie „łaski“ i „wspaniałomyślności“ w stosunku do ludu jest dziś śmieszne. Lud walczy o prawo do ludzkiego życia i na tej drodze odnosi zwycięstwa, mimo wszystkie chwilowe kryzysy. Lud wyznacza sobie inne miejsce, niż to, jakie wyznaczał mu uprzywilejowany pan, trzymający się światopoglądu, zgodnego z interesami kieszeni. Dlatego rodzą się nowe

prawa, dotyczące świata pracy, a wymierzone przeciw wyzyskowi i niewoli.

Nie co innego, ale to właśnie stanowi sens naszej epoki, jej zagadnień naczelnych i największego trudu w wywalczaniu innych norm ustrojowych, że masy ludzkie chcą inaczej żyć, chcą wydostać się z nędzy, brudu i pognębienia duchowego.

Dążenie to niejednych przeraża. Mówią, że to „koniec świata“, a to tylko dobra tego świata zmiana.

ISTOTA DEMOKRACJI. Leon Bourgois, wielokrotny minister i b. prezes ministrów Francji, tak określił treść istotną demokracji:

„Naród nie upatruje w republice jedynie formy ustroju politycznego. Oczekuje od niej istotnie dobroczynnego działania. Pragnie uczynić z niej narzędzie niezbędnych reform, mających zorganizować demokrację. Naród chce, by republika stała się społeczeństwem, opartem o sprawiedliwość, gdzie wśród powszechnego szacunku dla ustawy, każdy obywatel może bezpiecznie używać praw, rozwijać swą pracę, otrzymując należną nagrodę za swe czyny i zasługi, a wreszcie z całą swobodą pogłębić swe wierzenia i poglądy pod osłoną bezwzględnej neutralności państwa“.

DYKTATURA. Wyraz „dyktatura“ w różnych czasach i okolicznościach różne miał znaczenie. W republice rzymskiej w nadzwyczajnych wypadkach senat wybierał dyktatora. Urząd ten (magistratus extraordinarius) powierzano dyktatorowi dla spełnienia określonych zadań i na przeciąg czasu nie dłuższy, niż

sześć miesięcy. Dyktatorzy w rodzaju Sulli, Cincinata, i Juljusza Cezara mieli władzę nieograniczoną.

Inny sens ma dyktatura, jako wynik zamachu stanu, naprzykład dyktatura Napoleona po zamachu 18 Brumaire'a, likwidująca chaos rewolucji, (która miała znowu inną dyktaturę Konwentu). Zadanie własnej dyktatury określił Napoleon „J'ai déssouillé la revolution française“. Jeszcze innym dyktatorem był Cromwell, który członków parlamentu, wiernych królowi, wypędził z Izby i rządził razem z resztą parlamentu kadłubowego. Owa reszta zarządziła, między innemi, stracenie Karola I.

Dyktatorem nazywano również niejednego z królów autokratycznych, jak naprzykład Henryka IV-go i Ludwika XIV.

Historja zna dyktatury jednowładcze, oligarchiczne, klasowe. Zna wreszcie „dyktatorów konstytucyjnych“. Takimi, jeśli chodzi o siłę władzy i decyzji, byli podczas wielkiej wojny Clemenceau we Francji i Lloyd George w Anglji.

W ostatnich latach dyktatura rodzi się, jako skutek zamachu stanu (Mussolini, Pangalos, Primo de Rivera), albo rewolucji socjalnej (rządy bolszewickie).

Dyktatura jest z natury rzeczy przeciwieństwem demokracji. Wynika jednak z samego faktu zamachu stanu czy rewolucji, kiedy nowi władcy ustanawiają nowe normy prawno-państwowe. Przed ustaleniem tych ostatnich, w sobie samych muszą widzieć „źródło prawa“.

Rządom dyktatury towarzyszą zawsze nadużycia. U szczytu tych rządów stać może jednostka najbardziej szlachetna, ale na rządy dyktatury składa się

armja administracyjna i wojskowa. Urzędnicy tej armji obdarzeni są specjalnemi pełnomocnictwami, z których często korzystają bez skrupułów moralnych. Hasło dyktatury zyskuje na popularności w okresach chaosu gospodarczego i trudności finansowych państwa, jeśli ani tego chaosu, ani tych trudności nie mogą opanować rządy parlamentarne. Wówczas zabiera głos wiara w jednostkę — silną i zdecydowaną, wiara nie pozbawiona pierwiastków mistycyzmu, przypisującego jednostce moc cudotwórczą. Jest w tem uczuciu pewna siła pozytywna, ułatwiająca owej jednostce działanie przez wzrost jej autorytetu. Zarazem jednak wiara ta osłabia poczucie odpowiedzialności w społeczeństwie samem. Tę stronę ujemną miał na myśli Aleksander Fredro, kiedy pisał: „Zgromadzamy w jedną osobę wszystkie wymagania, całe nadzieje nasze, w niej zamykamy całą sprawę, czynimy ją poniekąd fatum naszem“ („Trzy po trzy“).

Dyktatura rewolucyjna i porewolucyjna pławi się we krwi nieraz całemi latami. Widzimy to w porewolucyjnej dyktaturze w dzisiejszej Rosji. Można do niej zastosować słowa Seneki w liście „De elementia“, pisanym do Nerona: „Żaden tyran nie może mieć wiernych i dobrych ministrów, który posługuje się nimi, jako maszynami tortury i narzędziami śmierci, którymi rzuca ludzi na pastwę, jak dzikie zwierzęta. Stając się coraz winniejszym, lękając się coraz bardziej ludzi i bogów, dochodzi do tego, że nie może już zmienić swoich obyczajów. Między innemi bowiem złemi właściwościami, okrucieństwo ma tę najgorszą, że nie może się cofnąć do dobrego.

Jedna zbrodnia musi popierać drugą“. Obrońcy dyktatury trzymają się zasady: cel uświęca środki. Pocieszają się również aforyzmem: gdzie drwa rąbią, tam drzazgi lecą. Nieraz jednak środki właśnie zabijają sprawę samą, a „drzazg lecących“ więcej jest, niż porąbanego drzewa. Romain Rolland, zrazu entuzjasta rewolucji bolszewickiej, ochłonąwszy później z pierwszych zachwytów, pisał w roku 1922 w liście otwartym do Henryka Barbusse'a: „Nieprawdą jest, iż cel uświęca środki, albowiem środki dla postępu ludzkości mają doniośléjsze znaczenie, niż cele. Cel (rzadko i niedoskonale osiągany) zmienia tylko stosunki zewnętrzne między ludźmi, środki zaś, przeciwnie, kształtują rozum ludzki i kierują człowieka na drogę sprawiedliwości lub na drogę gwałtu. A jeżeli tak jest, to żaden rząd, opierający się na gwałcie, nie będzie w stanie zapobiec uciskowi słabych“.

SUGESTJE FASZYZMU. W niektórych krajach hasło dyktatury rozległo się głośniej po zwycięstwie wodza faszyzmu, Mussoliniego. Przeciwnicy demokracji czerpali stąd zachętę i otuchę, pragnąc przeszczepić metody faszyzmu na inny grunt narodowy i społeczny. Nie odbyło się to nigdzie. Ponieważ faszyzm objął rządy drogą zamachu stanu, stąd każdy inny zamach stanu porównywano z włoskim, snując dowolne analogje. Nazwę faszyzmu przejęły różne grupy w kilku krajach, wszelako nie wiele mają one wspólnego z treścią faszyzmu, zwłaszcza z jego reformami w dziedzinie wzajemnego stosunku pracy i kapitału, oraz z jego metodami politycznemi.

Osoba Mussoliniego podniosła urok jednostki rządzącej, narzucającej swój autorytet i budzącej posłuch. Stąd też większa chwilowo popularność hasła dyktatury, przeciwstawianego demokracji.

Wrogowie demokracji w innych krajach propagują, pod wpływem faszyzmu, hasło silnej władzy wykonawczej, jakiej rzekomo nie może wyłonić z siebie współczesna demokracja. Ta ostatnia jednak, uznając zasadę silnych rządów, poddaje się niezbędnym, przez życie dyktowanym korektywom, zwłaszcza na drodze reformy parlamentaryzmu.

Sztuczne przeszczepianie niektórych metod politycznych na grunt całkiem inny nie da się urzeczywistnić. Darjusz pytał Greków, za jaką cenę zgodziliby się naśladować szczepy indyjskie, które naonczas zjadały swych pomarłych rodziców. Grecy wzdrygnęli się na samą myśl. Tak samo Indjanie gardzili niejednym obyczajem Greków. Plutarch wspomina, że prawodawca Thuryjczyków nakazał, iżby każdy, kto chce wprowadzić nowe obyczaje, stawał przed ludem z postronkiem na szyji, by w razie, gdyby ta nowość nie spodobała się ludowi, mógł być natychmiast powieszony.

Wpływ wzajemny narodów jest wielki, coraz większy, wszelako istotne odrębności społeczne nie pozwalają na ślepe naśladownictwo.

KULT NIEKOMPETENCJI. Głośna książka Emila Faguet'a p. t. „Kult niekompetencji“ poświęcona jest analizie tego zastraszającego zjawiska. Autor uważa kult niekompetencji za cechę istotną demokracji. Sama charakterystyka tego „kultu“ i spustoszenie,

jakie wyprawia w całem życiu społecznem i państwowem, jest wysoce pouczająca. Wszelako pogląd, iż „kult“ ów stanowi niejako atrybut demokracji, nie jest słuszny. Sposób pogodzenia demokracji z kompetencją nazywa się oświatą i sposób ten jest coraz wydatniej w życiu współczesnem społeczeństw stosowany.

Niewątpliwie słuszność ma Hamlet, kiedy zaleca aktorom: „By zasię wesołek nie grał więcej, niż dlań napisano, bo to musi martwić rozsądnych, choć się durnie śmiać będą“.

KRYZYS PARLAMENTARYZMU. Kryzys parlamentaryzmu łączy się z kryzysem ogólnym społecznego życia. Z chaosu socjalnego nie można wyłonić sprawnego ciała przedstawicielskiego. Kryzys przechodzą wszystkie dziedziny życia zbiorowego. Życie gospodarcze, obyczajowe, psychiczne, literatura, sztuka. Gdybyśmy chcieli likwidować wszystko, co przechodzi kryzys, pozostałoby nam tylko jedno: iść za radą Heraklita, który prosił obywateli, żeby się wszyscy powiesili. Jest to jednak projekt trudny do wykonania, albowiem ludzie lubią żyć. Szamotanie się parlamentaryzmu, jego poziom, grzechy, wady i zboczenia są tylko wyrazem całego życia zbiorowego, które jest chore i zdezorganizowane.

Hasła antyparlamentarne mają dziś powodzenie wśród wrogów demokracji. Don Kichotom wstecznictwa śni się absolutyzm, odebranie ludowi praw, zdobytych i pogwałcenie wolności. Nadewszystko przeszkadza im parlament, przedstawicielstwo narodowe z przewagą reprezentantów woli ludu, organ kontroli pu-

blicznej, hamulec samowoli, kuźnia reform, niezawsze przychylnych dla kieszeni. Tem jest parlament współczesny, mimo wszystkie wady, mimo wszystko, co domaga się w nim reformy.

Wyobraźmy sobie niedobrze urządzony szpital. Lekarze niedbali, obsługa zła, narzędzi chirurgicznych brak, sali operacyjnej wcale niema, kuchnia obrzydliwa, brud, nieład, niechlujstwo. I oto chorzy dochodzą do wniosku, że jest kryzys... medycyny. Nie kryzys medycyny, tylko szpital marnie urządzony...

OCHLOKRACJA. Obawy przed przeistoczeniem się demokracji w ochlokrację są niekiedy uzasadnione. Dowodem najnowszym i najbardziej wymownym — rewolucja bolszewicka, w której pierwszym okresie panowały na przestrzeni wielkiego państwa rządy tłumów, później dopiero zdławione przez dyktaturę partji.

Każdy system rządzenia, każdy prąd społeczny w pewnych warunkach wypacza się i wyrodnieje. Niebezpieczeństwo ochlokracji nie dyskwalifikuje demokracji, jako systemu rządów.

Prof. Florjan Znaniecki w książce „Upadek cywilizacji zachodniej“ pisze:

„Potężna fala ochlokracji wznosi się naokoło nas. Jeżeli jej nie powstrzymamy odrazu jakimś nadzwyczajnym wysiłkiem genjuszu i energji, zmiecie ona rzeczywistych budowniczych naszej cywilizacji, zniszczy ich plany i pozostawi ich niedokończone dzieło stopniowemu upadkowi. Wielkie ideały twórczości i rozwoju duchowego będą zastąpione przez zbiorowe wysiłki w celu otrzymania maximum zadowolenia

materjalnego i powierzchownego podniecenia. Wspaniałe wartości kulturalne, przekazane nam przez przeszłość, będą bezpożyteczne w rękach tych, którym brak miłości, cierpliwości i umiejętności, niezbędnej dla ich zrozumienia. Żyjąc wyłącznie dla teraźniejszości, brutalnie pewni siebie w swej niewiedzy, ceniąc jedynie korzyści widzialne i bezpośrednie, nowi panowie świata, jak fellachowie egipscy, używać będą głazów z dawnych świątyń do budowy mieszkań dla siebie“.

Tak się stać może, jeśli demokracja współczesna nie wzmocni swego poczucia odpowiedzialności dziejowej i nie spotęguje pracy nad podniesieniem kulturalnego poziomu mas ludowych. Trzeba jednak stwierdzić, że praca kulturalno-oświatowa wśród mas czyni ostatnimi laty ogromne postępy w całym świecie.

Zwiększenie tempa tej pracy jest dziś pierwszym warunkiem uratowania demokracji.

Zasada: najpierw oświata, potem równe prawa — jest argumentem, któremu przeczy historja: oświatę dla ludu wszędzie wywalcza właśnie demokracja przez uzyskanie równych praw obywateli.

PARLAMENT I SPOŁECZEŃSTWO. Parlament o zbyt długotrwałej kadencji naraża się na pewne oddalenie od społeczeństwa. Wybrany pod znakiem szeregu spraw w danym momencie żywotwych, po pewnym czasie przestaje być wiernem odbiciem nowych nastrojów i nowych potrzeb społeczeństwa. Przez to traci autorytet, staje się politycznym ciężarem. Wielki Monteskjusz w nieśmiertelnem dziele „O duchu praw“ pisze: „Byłoby rzeczą niepożyteczną,

4*

gdyby ciało ustawodawcze funkcjonowało bez przerwy. Zbyt absorbowałoby to władzę wykonawczą, która zajmowałaby się nadewszystko obroną swych prerogatyw i swych praw do wykonywania władzy. Powtóre, kiedy ciała ustawodawcze zmieniają się, naród mający złą opinję o ciele ustawodawczem aktualnem, kieruje swe nadzieje ku następnemu i nie traci szacunku dla ustaw“. (Ks. XI, rozdz. 6.)

PRAWO WYBORCZE. Postęp polityczny odbywa się szybciej, niż postęp kulturalny. Stąd kontrast pomiędzy prawami, zdobytemi przez masy, a tych mas poziomem oświatowym. Kto jednak domaga się dla wyborcy cenzusu oświatowego, ten zdaje się sądzić, że umiejętność czytania i pisania czyni z obywatela już lepszego wyborcę. A przecież wyborca, który ukończył szkołę, może być dla państwa szkodliwszy, niż człowiek prosty i ciemny. Może sobie wyborca płynnie czytać i gramatycznie pisać, a być przytem kreaturą, która niszczy państwo, myśli o swoim wyłącznie interesie, posyła do parlamentu swoje sługi partyjne i rządzi temi sługami według własnych materjalnych kalkulacyj.

Niedarmo pisał Monteskjusz, że podstawą republiki jest cnota.

Cenzus oświatowy przy wyborach do parlamentu, uważany jest przez niektórych za środek, który może sparaliżować lub pomniejszyć działalność demagogji, wyzyskującej ciemnotę mas wyborczych. Niech — powiadają — wyborca umie przynajmniej pisać i czytać. Kto tak sądzi, zbyt ma pochlebną opinję o drukach. Słowo drukowane niesie dziś masom niemniejszą dozę demagogji, niż słowo żywe. Umiejętność czytania nie zabezpiecza wyborcy od hypnozy partyjnej i agitatorom terenu działania bynajmniej nie zmiejsza. Przeciwnie, sugestja słowa drukowanego obejmuje znacznie szersze koła. Przekonajmy się w każdym wypadku, co wyborca czyta i jak się do swojej lektury odnosi, by orzec, czy to dobrze, że czytać potrafi...

INNA RÓWNOŚĆ. Najprostszą w dziejach politycznych ordynację wyborczą miały starożytne Ateny. Obywatele wybierali co roku pięciuset członków Wielkiej Rady, po pięćdziesięciu w każdym z dziesięciu okręgów. Wybierali przez losowanie. Wylosowanym mógł być każdy, kto skończył lat 30. Również wedle losu urzędowały poszczególne pięćdziesiątki kolejno w ciągu 35 lub 36 dni. Prytanie, t. j. członkowie Wielkiej Rady wybierali znowu przez losowanie jednodniowego przewodniczącego. Pod jego opieką w ciągu jednej doby pozostawały klucze od skarbca i archiwum państwowego. Prawo nie pozwalało piastować tej godności dwa razy w ciągu jednej kadencji.

Ordynacja ateńska była tedy oparta na zasadzie bezwzględnie demokratycznej i na zaufaniu absolutnem do woli Opatrzności. System ten nie przyjął się w dziejach, albowiem losowanie nie rozstrzyga najbardziej żywotnego zagadnienia demokracji: równego dla wszystkich prawa do wyboru obywaleli, którym nie są równi.

NAPRZÓD CZY WSTECZ? W swej mowie, wygłoszonej na zjeździe metalowców w Moskwie, Lenin, wspominając o nowej polityce ekonomicznej rządu

sowietów, oświadczył, że rząd ten „nie był w stanie utrzymać wszystkich zdobytych już pozycji“, wszelako „cofanie się zostało już zakończone“. „Bardziej wstecz już nie pójdziemy, dosyć!“ — wołał pod adresem kapitalistycznego świata. Zarazem poucza i ostrzega, że Rosja sowiecka nie obawia się żadnej groźby i potrafi nakazać dla siebie posłuch i szacunek.

Mereżkowskij nazwał kiedyś Rosję „odwrotną stroną Europy“. I w tym wypadku jest to doskonałe określenie. „Cofanie się“ bolszewickiego rządu było właśnie krokiem naprzód w polityce ekonomicznej, jeśli chodzi o europejskie pojęcie postępu. Realizacja bowiem doktryny bolszewickiej w jej „czystej“ formie była procesem społecznego uwstecznienia. Zapowiedź „niecofania się“ jest zapowiedzią zahamowania postępu.

Socjalista Kautsky w swojej ostatniej książce p. t. „Od demokracji do niewolnictwa państwowego“ (odpowiedź na wydaną w r. 1920-tym książkę Trockiego „Teroryzm i Komunizm“) analizuje bardzo szczegółowo i rzetelnie ustrój sowiecki, dochodząc do wniosku, iż z punktu widzenia socjalizmu, rządy sowietów i cały ich system stanowią właśnie uwstecznienie społecznego życia. Pod względem politycznym — utrwalają rządy despotyczne, nietylko w walce z kontrrewolucją, lecz jako istotną zasadę. Pod względem ekonomicznym — zahamowały w Rosji możliwość rozwoju socjalistycznego. Wielki przemysł runął, a ostało się tylko rzemiosło i przemysł domowy, robotnicy najemni uciekają z miast, brak tam kapitału i robotników ukwalifikowanych, Rosja tedy zmuszona jest zwracać się do zagranicy i o kapitał i o wykwalifikowane siły robocze. Bolszewizm tedy cofnął Rosję do XVIII stulecia. Dalej w bardzo interesującym i rzeczowym wywodzie Kautsky wyjaśnia, że Lenin rozbił drugą międzynarodówkę w imię najbardziej zacofanej części wszechświatowego proletarjatu i przez to również zahamował postęp socjalizmu.

Książka Kautsky'ego jest nadzwyczajnie pouczająca. W świetle tych argumentów leninowskie „naprzód“ oznacza „wstecz“, a „nie będziemy się cofać“ — znaczy tyle, co „zatrzymamy się na drodze postępu“.

„Odwrotna strona Europy“.

„WOLNIEJ NA ZAKRĘTACH“. Podobno Feliks Dzierżyński w ostatniej swej mowie, wygłoszonej godzinę przed śmiercią, na posiedzeniu Centralnego Komitetu partji komunistycznej, rzekł do wybitnych przedstawicieli obecnej opozycji: „Żałuję bardzo, że zbyt późno dowiedziałem się o waszem zebraniu tajnem w lesie. Z ochotą posłałbym tam pułk G. P. U., który przy pomocy karabinów maszynowych zniszczyłby was i waszych zwolenników“. Trockij miał się roześmiać, a Piatakow podobno zawołał: „Dzierżyński „wolniej na zakrętach!“

Można ten okrzyk uważać za „mot historique“. „Wolniej na zakrętach“ — tak zdaje się wołać rzeczywistość i Rosji i świata całego. „Wolniej na zakrętach“ czyli bez „skoku w niewiadome“, jak to mówili niektórzy rewolucjoniści o urokach socjalnego przewrotu. „Wolniej na zakrętach“, bo na rozpędzo-

nym wozie, na którym siedzi fanatyzm i dogmatem pogania, łamie się kark w miejscach, gdzie życie okrzyków teorji nie znosi.

Kiedy Karol Marks zarzucał Lassale'owi, że jego wywodom przeczy rzeczywistość, Lassale, powtarzając za Heglem, napisał: „Desto schlimmer für die Taatsachen" — tem gorzej dla faktów. Był to konsekwentny aprioryzm, który nie zajmował się konfrontowaniem swych pewników z życiem.

W Rosji odbywa się obecnie na szczytach władzy przyspieszony kontredans pod takt walki dwóch teoryj, dwóch rozbieżnych komentarzy do leninowskiej ewangelji. Uważający się za najbardziej prawowiernych, zarzucają dzisiejszej władzy „reakcję", której wyrazem są eksperymenty t. zw. „nepu". Szale walki ważą się i niewiadomo, czyje głowy prędzej spadną z karku.

W roku 1924-tym, kiedy Trocki był już w niełasce, miał powiedzieć Dzierżyński: „Nadzwyczajnej komisji do walki z kontrrewolucją głowa towarzysza Trockiego jest narazie niepotrzebna". W tym kraju krwawego chaosu wszystko jest „narazie". A wszystkie te zmiany, próby, paljatywy, cofania się i skoki, cała walka teorji, narzucanych opornemu życiu gwałtem i terrorem, wszystkie klęski doktryn i dogmatów — niosą współczesnemu światu wielką naukę o możliwych i niemożliwych formach międzyludzkiego współżycia, o możliwych i niemożliwych sposobach rządzenia. Słusznie pisze poseł Mieczysław Niedziałkowski w książce „Teorja i praktyka socjalizmu wobec nowych zagadnień", że pod tym względem „społeczeństwo rosyjskie oddało kolosalną przysługę

innym narodom za cenę ofiar nieopisanych i męki bez granic".

PO DZIESIĘCIU LATACH. Dziesięć lat minęło od dnia abdykacji cara Mikołaja II-go (14 marca 1917 r.). W dziejach społecznych i politycznych rodzaju ludzkiego dzień ten będzie datą wiekopomną, bowiem na szóstej części lądu ziemskiego otwiera nową, do dawnych niepodobną epokę.

Jarzma caratu nie zrzucił naród rosyjski własną siłą. Pomogły mu armaty niemieckie, tak — jak przedtem — pierwsze wyłomy w carskim despotyzmie poczyniono z pomocą wojennego zwycięstwa Japonji.

Nastał w Rosji wielki, historyczny dzień. Carat runął wśród radości wszystkich ludów ogromnego państwa. Wezbrała też fala patrjotyzmu i woli zwycięstwa. Nowy rząd, z Kiereńskim na czele, zyskał, jak się zrazu zdawało, wielki posłuch. Hasło wyparcia wroga z granic państwa budziło entuzjazm. Na front poszły nowe zastępy ochotników. Lecz ten przypływ patrjotycznej fali nie wywołał współczucia w sztabie wroga. Rozbił się o pancerze niemieckie. Wkrótce przywódcy bolszewików wyzyskali nienawiść do wojny, większą, niż patrjotyczny zapał.

Od marca do października 1917 roku ważyły się szale polityczne: patrjotyczny liberalizm, bardzo świeżej daty i stary, zasilony klęskami wojny, nihilizm szerokich mas ludu, które krwawić się dalej nie chciały, zaś tych, co wymagali dalszej ofiary wojennej, uważały za takich samych wrogów ludu, co i carat. Błędy Kiereńskiego? Powiedziano już tysiące razy: gdyby był silniejszy, gdyby go stać było

na mocne rządy, na terror, na karę śmierci... W owych „gdyby“ wyraża się przecenianie jednostki w dniach zmagania się dwóch żywiołów społecznych, zmierzających do nieuniknionego starcia. Upadek caratu otworzył dla mas zbuntowanych szersze perspektywy, niż te, jakie zakreślić im chcieli rosyjscy liberali. Dotąd, a nie dalej! — było to życzenie nierealne, zwłaszcza w dniach wielkiego i krwawego zamętu.

Co zaś najważniejsza, Rosja despotyczna w ciągu całych stuleci wychowała zbyt potężny zapas anarchizmu, by po upadku caratu przejść mogła odrazu do formy i treści demokratycznego państwa. Oto zdaje się być największa tej sprawy nauka. Pękły wiązadła, któremi spojony był cały gmach społecznego życia. Nie dał się ów gmach utrzymać naprędce zrobionem rusztowaniem, czy też tylko podpórkami. Rozsadzony gwałtownie, zachwiał się w swoich fundamentach. To, co trzymało się siłą terroru, odmówiło posłuszeństwa, kiedy rządy despotyczne padły.

Zbuntowany niewolnik, gdy odzyska wolność, nie chce znać jej granic. A nie było czasu, by go wychować na wolnego obywatela.

W październiku 1917 roku zwyciężył bolszewizm, jako jedyny żywioł, który potrafił dawny terror zastąpić nowym, opierając się na starodawnej, tradycyjnej psychice strachu i bierności mas. Rozpoczęły się rządy krwawych fanatyków, którzy osiągnęli w państwie swojem trzy skutki: nędzę, posłuszeństwo i klęskę idei.

Taka była logika wydarzeń w rosyjskim chaosie, kryjącym w sobie nieobliczalne jeszcze możliwości.

JEST JUŻ INACZEJ... Gdzież to te czasy, kiedy szlachcicowi w Polsce pod grozą kary nie wolno było z kmieciem na jednej spocząć ławie (przepisy ustaw z roku 1420)? Życie społeczne zmieniło się i trzeba to doskonale zrozumieć, żeby się w tem życiu jakoś urządzić rozsądnie. Można sobie czasem, pocichu, prywatnie zatęsknić do czasów, kiedy naprzykład obowiązywało „ius primae noctis“, ale głośno o takich tęsknotach już mówić nie wypada i nicby z tego nikomu nie przyszło: lud nie zgodziłby się na to prawo. Pożytecznie jest zdać sobie sprawę, na co lud już się nie zgadza.

Zdziwi się, gdy mu opowiecie, że były takie czasy, kiedy tylko szlachcic mógł jadać widelcem o czterech zębach, zaś mieszczaninowi, co najwyżej trójzębnym widelcem wolno się było posługiwać, kiedy prawa pozwalały tylko burmistrzom, rajcom i wybitnym uczonym doktorom używać do ubrania aksamitu, atłasu, adamaszku, jedwabiów i cienkich materjałów („Reassumcya ordinaciey szlachetnego miasta Thorunia o szatach, ślubach, weselach, chrzcinach i pogrzebach, rewidowana i ogłoszona dnia 1 lipca 1722 roku“); kiedy to kobietom nieszlacheckiego rodu zakazane były następujące w strojach kolory: pąsowy, karmazynowy, szkarłatny, purpurowy i fioletowy; kiedy dziewczętom wiejskim wzbroniono noszenia nawet sztucznych pereł czy korali; kiedy nie wszystkie również potrawy mogły być spożywane przez ludzi nieszlacheckiego stanu, a na weselach

i zabawach obowiązywał przymusowy porządek i kolejność w tańcach, aby nikt nie śmiał w tańcu wymijać osób dostojniejszych.

Ktoby chciał sobie pomóc w zrozumieniu różnic pomiędzy przeszłością, a życiem współczesnem, temu przykłady powyższe dobrze, a wesoło sprawę uplastycznią.

KONIECZNOŚCI ŻYCIOWE. Pojęcie fizycznego „Existentz-minimum“ da się dość ściśle określić przez ilość cieplika w pokarmach oraz ilość metrów sześciennych powietrza, wymaganych przez organizm ludzki. Również klimat określa rodzaj ubrania, zabezpieczającego od zamarznięcia. Natomiast pojęcie kulturalnego „Existenz-minimum“ jest bardzo względne. Inne u Buszmenów, inne w Anglji, jeszcze inne w krajach o pośrednim poziomie cywilizacyjnym. Po wojnie jedną z najbardziej palących spraw w Anglji stała się kwestja budowy domów dla klasy robotniczej („The housing problem“). Parę lat temu podczas dyskusji nad tą sprawą w komisji Izby Gmin, wielką burzę wywołało zastrzeżenie ministra, że nie w każdem mieszkaniu robotniczem będzie mogła być łazienka. Posłowie robotniczy gorąco protestowali przeciw społecznemu deklasowaniu robotnika i oszczędzaniu na łazienkach, które uważają za jedną z najelementarniejszych konieczności życiowych. Tak myślą robotnicy w Anglji. U Senegalczyków niema o tem mowy, a w krajach o pośrednim poziomie cywilizacyjnym uważa się, że, owszem, łazienka w mieszkaniu jest niezbędna, ale tylko dla ludzi zamożnych. W tych krajach żądania robotnika angielskiego bu-

dzą śmiech albo oburzenie. I wywołują sentencję: świat się kończy, panie dobrodzieju! Ci sami, którzy dbają o to, żeby się świat, panie dobrodzieju, nie skończył, głoszą z przerażeniem, że demokracja zagraża kulturze, że niszczy dorobek kulturalny stuleci, że obniża poziom życia, jest brutalna, ordynarna i nieestetyczna. A kiedy demokracja sięga po dobra kulturalne i cywilizacyjne, które chce uprzystępnić i upowszechnić, znowu okrzyk i przerażenie: co za uroszczenia! Jeden to z dowodów, że wrogowie demokracji stracili logikę, dla równowagi ducha tak potrzebną.

KOSZTOWNE ZASADY. Jedną z wielu kwestyj, jakiemi zajmowało się ostatniemi czasy Międzynarodowe Biuro Pracy, jest praca kobiet w kopalniach japońskich. Na podstawie raportu delegacji japońskiej p. Kato, powzięto uchwałę, uznającą konieczność wzbronienia pracy kobietom pod ziemią, gdyby nawet — głosi uchwała — musiało to pociągnąć za sobą ofiarę ze strony przemysłowców.

Tak w tej, jak i w szeregu innych spraw, konflikt pomiędzy pracą a kapitałem rozstrzyga się w dzisiejszych czasach na korzyść zasady ludzkości. Interes przemysłowca i jego kalkulacja przestały być kryterjum jedynie miarodajnem i rozstrzygającem. Utrudnienia obecne w systemie eksploatacji pracy, stanowią najistotniejszą obronę praw człowieka. Nie wszystko już wolno w dążeniu do maksimum zysków. Właścicielowi kopalni japońskiej jest wygodnie korzystać z tańszej pracy kobiet, ale ponieważ praca kobiet w kopalni niszczy ich siły i zdrowie, przeto

będzie wzbroniona. Zwycięża zasada ludzkości, do której organizacja przemysłu musi się przystosować.

By uprzytomnić sobie postęp moralny pod tym względem, dość przypomnieć czternastoletnią walkę (1833—1847) lorda Shaftes Bury o przeprowadzenie w parlamencie angielskim ustawy, ograniczającej pracę małoletnich w przemyśle do 10-ciu godzin na dobę! Przemysłowcy angielscy bronili się temi samemi argumentami, jakie wysuwa przemysł dzisiejszy, narzekając na narzucone mu ustawodawstwo pracy. Niewątpliwie praca dzieci była pozycją budżetową dogodną, niewątpliwie kalkulacja handlowa była o wiele łatwiejsza, ale poczucie moralne współczesnego świata chroni dzieci od zabójczego wyzysku. Łatwiej też bez porównania było osiągać zyski z przedsiębiorstwa bez ciężarów, jakich wymaga ochrona pracy, ustawodawstwo ubezpieczeniowe, opieka nad macierzyństwem, nakazy hygieny i t. p. Nie dziw, że nowe ustawy wywołują tyle gniewu, ale ten gniew jest bezcelowy. Pewne formy wyzysku minęły. Trzeba to sobie uprzytomnić. W ciągu ostatnich dziesiątków lat, zwłaszcza w latach powojennych, masy robotnicze osiągnęły większe zwycięstwa, niż w ciągu całych minionych stuleci. Zmienia się to, co trwało całe wieki. Postęp współczesnego świata wyraża się nadewszystko w podźwignięciu mas pracujących, które zdradzają chęć życia po ludzku.

TWÓRCZE BURZYCIELSTWO. Nie każde burzycielstwo jest twórcze. Spalona z rozkazu Omara Kayama bibljoteka aleksandryjska — to strata w niczem w dziejach niepowetowana. Burzycielstwo jest

twórcze, kiedy oczyszcza teren dla gmachów innych, nowych, lepszych. „Cóż nam dajesz za wierzenia, które nam odbierasz?“ — pytano Woltera. Na co, Wolter odparł: „Zabijam hydrę, która was pożera, a wy pytacie, co wam za to daję?“

Więcej jest w świecie dzisiejszym negacji, niż konstrukcji, więcej walki w likwidowaniu rzeczy dawnych, które przecież nie zapewniły jednostkom i narodom nietylko błogostanu, ale choćby takiego trybu życia, które mogłoby odpowiadać godności rodzaju ludzkiego. Przeszłość polityczna świata była straszna. Nie wie nic, kto w przeszłości widzi samo dobro.

Duch negacji, tak potężnie pracujący w naszych czasach, twórcze zawiera pierwiastki.

MIĘDZY NARODAMI

RZECZY NIETYKALNE. Pisma paryskie poruszyły sprawę, którą uznały za kwestję honoru kulturalnej Francji. W roku 1914-tym odbyła się w Ljonie międzynarodowa wystawa, na której były również pawilony austrjackie i niemieckie. Wsród tych ostatnich oddzielny pawilon z pamiątkami po Goethem, sprowadzonymi na specjalną prośbę burmistrza Ljonu, p. Edwarda Herriot, gorącego wielbiciela poety. W rzędzie pamiątek znalazł się też przepiękny egzemplarz „Fausta“ ilustrowany przez Davida i Delacroix. Kiedy wybuchła wojna, wszystkie eksponaty niemieckie i austrjackie uległy sekwestrowi. Już podczas wojny burmistrz miasta Ljonu za pośrednictwem Szwajcarji zawiadomił Muzeum im. Goethego we Frankfurcie, iż po wojnie pamiątki po Goethem będą w całości zwrócone, zgodnie z zobowiązaniem. Na początku 1922-go roku rząd francuski zdjął sekwester ze wszystkich eksponatów niemieckich i austrjackich, tymczasem firma, która przechowywała te eksponaty, zażądała od wystawców pół miljona franków za składowe w ciągu 8-miu lat, grożąc wystawieniem eksponatów na licytację, m. in. również pamiątek po Goethem. I oto pisma francuskie wystąpiły z protestem, uważając, że sprzedawanie tych pamiątek obraziłoby honor kulturalnej Francji, że przeto należy je bezzwłocznie i to bez żadnych od-

szkodowań zwrócić Muzeum im. Goethego we Frankfurcie.

„Goethe nie może być przedmiotem targu — pisał „Temps“ — trzeba uszanować genjusz.“ Sprawa została skierowana do sądu. Sędziowie Ljonu podzielili zdanie opinji publicznej, pamiątki po Goethem zostały wyłączone z licytacji. Z tego powodu „Temps“ daje wyraz zadowoleniu, iż zapobieżono „niedopuszczalnemu skandalowi“, po którym „każdy Francuz musiałby się rumienić.“ Konkluzja tego pisma brzmi: „Trzeba szanować wielkich ludzi bez różnicy narodowości“. Poruszenie opinji publicznej w sprawie pamiątek Goethego dowodzi, że to uczucie niezbędnego szacunku jest w społeczeństwie coraz silniejsze.

Kto zna Francję, wie, że sprawa inaczej skończyć się nie mogła. Jednym z największych uroków tego kraju jest głębokie uwielbienie dla genjuszu ludzkiego, wobec którego milkną wszelkie uprzedzenia i niechęci.

JAK W GÓRACH NILGERYJSKICH. Przenieśmy się myślą na chwilę w góry Nilgeryjskie. Mieszka tam kilka interesujących plemion.

Todowie w halach górskich pasą swoje stada, a za skórę i mięso otrzymują od Bagadów zboże. Todowie mięsa nie jadają, sądzą bowiem, że każde zwierzę jest stworzeniem świętem. Bagadowie nie podzielają tego zdania, co ich ogromnie różni od plemienia Todów. Plemię inne, mianowicie Kotowie, spełnia u tamtych dwóch czynności rzemieślników, tudzież służby domowej. Wszystkie te trzy plemiona odnoszą się z pogardą do czwartego, najmniej licznego, mianowicie do Korumbów. Ci ostatni uchodzą za nikczemnych czarodziejów. W porozumieniu z nieczystemi siłami sprowadzają suszę i różne choroby. Korumbowie zmuszani są do uprzątania padliny z osad todzkich i wiosek badażskich. Na najniższy szczebel społeczny zostali zepchnięci Irulowie, pogardzani powszechnie przez wszystkie inne plemiona, choć wyświadczający im różne usługi i otrzymający za to wynagrodzenie.

Plemiona nilgeryjskie różnią się od siebie strojem, obyczajem, narzeczem i religją, zaś podobne są tylko we wzajemnej dla siebie nienawiści. Niepodobna opisać lekceważenia, jakie każde z tych plemion żywi dla pozostałych. Jest rzeczą nie do pomyślenia, ażeby Tod wystroił się w pióra podobne do tych, jakie nosi Korumb, a już tembardziej Irul. O międzyplemiennych stosunkach erotycznych nie może być mowy. Dziewczyna kotodzka byłaby zabita, gdyby stała się powolną Bagadowi. Również nie przyjęły się tam żadne międzyplemienne stosunki towarzyskie. Plemiona nilgeryjskie dbają o nienaruszalność swych tradycji, o zachowanie wszystkich cech i najmniejszych szczegółów swojej odrębności. Niema większej obelgi dla Toda, niż kiedy mu się powie, że jest podobny do Korumba. Każde też plemię śmieje się z bożków i totemów swojego sąsiada. Bagadowie drwią sobie ze świętych zwierząt Todów i dziwią się, jak można nie czcić drzew.

Trzeba jeszcze nadmienić, że owe ludy, związane podziałem pracy, nie mogą się obejść jeden bez drugiego. Todowie, przenosząc się na nowe miejsce w górach, pospieszają zawiadomić o tem Korumbów

i Kotów, ci zaś ostatni odwzajemniają się zawsze, podając tamtym taką samą wiadomość o sobie.

CZŁOWIEK W ŚWIECIE. Nie znamy świata. Nie znamy, mimo, że jak wszystkie narody, tysiącami węzłów związani jesteśmy z resztą globu. Sieć zjawisk współzależnych, oplatająca życie narodów i jednostek, jest coraz gęstsza i silniejsza. Zarówno w życiu materjalnem, jak i w świecie ducha. Wymiana dóbr wszelkich odbywa się w tempie coraz szybszem i obejmuje coraz to nowe dziedziny. Narody mimo, że poodgradzane murami uprzedzeń, pod naporem konieczności gospodarczej, oddają sobie coraz większe usługi.

Szukanie rynków zbytu, zbytu wszystkiego, co się wytwarza i przerabia, jest jednem z zajęć dominujących. Przenikanie wzajemne owoców pracy i twórczości jest już tak silne, że dziś trudno sobie wyobrazić człowieka, żyjącego w środowisku cywilizowanem, któryby nie korzystał z dorobku krajów bliższych i najdalszych, zarówno w rzeczach ważnych, jak w drobiazgach. W jego mieszkaniu, ubraniu i pokarmach, w jego życiu intelektualnem i estetycznem widać wymienną współpracę całej kuli ziemskiej.

Znakomity ekonomista francuski, a zarazem świetny publicysta, Fr. Delaisi, w dziele swoim „Les contradictions du monde moderne“ opisuje jeden dzień przemysłowca paryskiego, barwnie i dowcipnie uwydatniając rolę świata w życiu jednostki.

Monsieur Durand, wyrwawszy się z rannego snu, udaje się do łazienki. Myje się mydłem fabrykowanem na oleju roślinnym z Kongo i wyciera się ręcznikiem z bawełny amerykańskiej. Ubranie p. Durand: koszula i kołnierzyk z lnu rosyjskiego, garnitur z wełny australijskiej, krawat z jedwabiu japońskiego, kamasze ze skóry argentyńskiej, wyprawionej przy użyciu chemikalji niemieckich.

P. Durand udaje się do pokoju jadalnego. Stoi tam kredens holenderski, znajduje się zastawa srebrna, w której skład wchodzi cyna amerykańska z Detroit, miedź z Rio-Tinto, srebro z Australji. Świeże pieczywo z mąki, pochodzącej z Beauce, a może z Rumunji, jeśli nie z Kanady. Menu składa się z jajek przywiezionych z Marokko, płatka boczku, sprowadzonego prawdopodobnie z Argentyny w stanie zamrożonym, z groszku zielonego w konserwie, rodem z Kalifornji, a na deser spożywa p. Durand konfitury angielskie (owoce francuskie i cukier kubański) i filiżankę kawy brazylijskiej.

Po posiłku — praca. Przejrzawszy w biurze kursy giełdowe Liverpoolu, Londynu, Amsterdamu lub Jokohamy, p. Durand dyktuje listy, pisane na maszynie marki angielskiej. W fabryce p. Durand, maszyny wykonane w Lotaryngji podług modelów niemieckich, wytwarzają t. zw. „articles de Paris“ dla rynku brazylijskiego. Surowce i półfabrykaty dla tych „articles de Paris“ otrzymuje fabryka p. Durand z Chin, Japonji, Hiszpanji, Włoch i Francji.

Z biura udaje się p. Durand do swego bankiera, inkasuje tam czek we florenach od klijenta holenderskiego i nabywa czek w funtach szterlingach dla pokrycia należności swego dostawcy w Londynie. Bankier korzysta z okazji i informuje p. Durand, o zwyżce

walorów naftowych. P. Durand daje zlecenie nabycia pięciu akcji Royal Dutch i dziesięciu Standard Oil.

Po powrocie do domu p. Durand proponuje żonie wieczorną rozrywkę. Madame ubiera suknię wieczorową (Paquin Limited), płaszcz z niebieskich lisów (Syberja), revierę brylantową (Kapland), poczem pp. Durand udają się na obiad do „Restaurant italien". Wreszcie po rozrywkach w kabarecie kaukazkim, przy dźwiękach murzyńskiego jazz-bandu, państwo Durand wracają do domu.

F. Delaisi nadmienia, że p. Durand znużony dniem pracowicie spędzonym, zasypia zadowolony z siebie i z Francji, która „wystarcza sama sobie i nie potrzebuje nikogo..."

Francis Delaisi zasłynął szeregiem publikacji, w których z nadzwyczajną plastyką określił rolę i znaczenie czynnika ekonomicznego w nowym układzie stosunków międzynarodowych. Wszelako prawdziwym arcydziełem publicystyki współczesnej jest właśnie książka „Les contradictions du monde moderne" (1925). Oto jedna z tych prac najrzadszych, które w sposób rewelacyjny otwierają nowe horyzonty myśli społecznej, zmuszają do generalnej rewizji pojęć i szematów, pobudzają do szukania nowych dróg w budowaniu przyszłości, pomagają do wydostania się z powojennego zamętu i kryzysu. Nikt we współczesnej literaturze społecznej nie ukazał z taką mocą, tak wyraziście, barwnie, sugestywnie przepaści dzielącej naszą rzeczywistość od wyobrażeń, jakie o niej mamy. Wyobrażenia te stanowią, jak to określa Delaisi dzisiejszą „mitologję polityczną". Jest to świat imaginacji, kształtujący naszą uczuciowość, urabiający

nasze nastroje, przesądy, uprzedzenia, najzupełniej oderwane od życia realnego, przeczące wymaganiom tego życia, najbardziej szkodliwe, dezorjentujące nas, utrudniające nam ulepszenie stosunków społecznych i międzynarodowych. Delaisi zilustrował Baconowskie „idola" obrazem dzisiejszych przesądów politycznych. Z jednej strony ukazał potęgę „mytów", które stanowią siłę popędową w nastrojach szerokich mas ludzkich (o czem pisał już Sorel w słynnem dziele „Reflexions sur la violence"), z drugiej — uwydatnił ogrom zmian, jakie odbywają się w naszych czasach wbrew tym mytom. Tu, w tej kontradykcji głębokiej, w tym — jak pisze Delaisi — „rozwodzie między ideami a faktami" tkwi najgłębsze może źródło współczesnego kryzysu, źródło psychiczne, więc do usunięcia najtrudniejsze.

Ów „rozwód", owa kontradykcja wyraża się najsilniej w zestawieniu wyobrażeń nacjonalistycznych ze wzrastającą wciąż i coraz gęstszą siecią współzależności gospodarczej między narodami. Delaisi na podstawie cyfr określa dzisiejszy stopień tej współzależności, stopień taki, że już dzisiaj „samostarczalność", czyli izolacja jakiegokolwiek z państw europejskich, równałaby się ostatecznemu tego państwa upadkowi w nędzy i głodzie. A jednak faktowi wzajemnej niezbędności w wymianie surowców i produktów, najzupełniej nie odpowiada system pojęć jeszcze tak żywotnych, kładących piętno na całe życie polityczne Europy. Pojęcia te stanowią wielkie brzemię przesądu, zło zapóźnionych doktryn. Świadomość solidarności międzynarodowej, choć czyni postępy,

nie wzmaga się współrzędnie z procesem wzajemnego uzależniania się narodów.

Te same w istocie zjawiska kontradykcji wyjaśnia Delaisi i w innych sprawach zbiorowego życia, rzucając snopy światła na naczelne zagadnienia współczesnej epoki.

MANIFEST CESARZA JAPONJI. Manifest nowego cesarza Japonji jest pełnym wymowy dokumentem naszych czasów. Wyraża naczelne troski epoki, jednakie w swej istocie u wielu narodów, choć tak różne w szczegółach i formach. W słowach mądrych i pięknie spokojnych wypowiada sąd o świecie dzisiejszym, nietylko o Japonji, w zrozumieniu coraz silniejszej i gęstszej sieci zjawisk współzależnych w życiu międzynarodowem. Jest to sąd niezabarwiony urzędowo-patetycznym liryzmem, nieprzełamany przez pryzmat intronizacyjnego ceremonjału. Przeciwnie, stanowi poważne ujęcie rzeczywistości współczesnej. Tak przemawia odpowiedzialność dziejowa. Niema w manifeście żadnych zwrotów zdawkowych, podyktowanych przez ustalony, starodawny szemat.

Po słowach czci dla monarchów poprzednich, przechodzi manifest do określenia ducha czasów: „Stosunki światowe — czytamy — doświadczyły obecnie znamiennych modyfikacyj, myśli ludzkie skłonne są do płynięcia w sprzecznych kierunkach“.

Oto stwierdzenie rzeczy najbardziej doniosłej. Tu sens światowego kryzysu, tu — całe zagadnienie przyszłości, trud szukania dróg harmonji, ratującej świat trapiony kontradykcjami, które rosną nieustannie. Innemi słowy — szukania syntezy wśród chaosu sprzeczności i ważących się szal w różnych dziedzinach zbiorowego życia, zarówno wewnątrz państwa, jak i w stosunkach pomiędzy państwami.

Zdanie następne: „W życiu ekonomicznem narodu zaznaczają się od czasu do czasu konflikty różnych interesów. Jest przeto rzeczą ważną ustalić punkt widzenia na ogólną sytuację kraju“. Z pracy badawczej wyniknąć ma wzmocnienie solidarności narodu.

Dalej: „Świat przechodzi obecnie proces ewolucji, w historji cywilizacji ludzkiej został otwarty nowy rozdział. Od samego początku polityka naszego narodu w rozwoju wypadków szła zawsze w kierunku postępu i udoskonaleń. Posłannictwo, które przeszłość pozostawiła ludzkości, jasno wskazuje, że postęp może iść stopniowo, a udoskonalenia należy szukać w pośrodku“. W słowach tych łączy się poczucie tradycji z duchem postępu.

Ciąg dalszy manifestu wskazuje zadania naczelne wielkiego narodu oraz jego postawę wobec reszty świata: harmonję z cywilizacją przodującą, troskę o dobro wszystkich klas społecznych i przyjaźń ku wszystkim narodom ziemi.

Oto orędzie w treści i w formie najbardziej nowoczesne. Apel cywilizacyjny zwrócony do narodu, który w całych dziejach swoich doznawał tyle zachęty do czynów postępu, zachęty idącej z góry.

Polityka wewnętrzna Japonji nie tylko sztuką rządzenia, lecz również wychowywania rządzonych. Żyje ideą przyszłości. Wspiera się o postęp świata. Wchłania wszystko, co przynosi genjusz cywilizacyjny umysłu ludzkiego, nie podcinając jednak korzeni tych tradycyj, które odpowiadają indywidual-

ności narodu. Jest ożywiona najwyższemi ambicjami. Stawia sobie zadania obliczone na najdalszą przyszłość. Te są podstawowe cechy jej siły twórczej.

Duch tej polityki dobrze wyraził się w manifeście, niosącym słowo prawdziwie dostojne w swym umiarze, mądrości i powadze.

„RZECZPOSPOLITA EUROPEJSKA". Marja Dąbrowska w jednej ze swych opowieści („Najdalsza droga" z cyklu „Ludzie stamtąd") opisuje chłopa myśliciela, który powiada: „Do wszystkiego dobrego droga daleka, to i do tej zrozumiałości między ludźmi tyż nie blisko, ale, żeby nojdalij, to ludzie nie som złe, tylko pourządzane majom tak, że niech ręka Boska broni. Jak ino co, zaro człowieka o człowieka ćpo. Zaro się źrom. Ale tak nie może być. Zeli nie jo, to ty Juluchna doczekosz, abo ten Józio, że ludzie do ludzi dońdom".

Kiedy „dońdom"? Myślimy teraz dużo o Lidze Narodów, której zadaniem jest również, by narody do narodów „doszły". Stare, odwieczne marzenie. Przypomnijmy ideały Dantego o zrzeszeniu narodów, marzenie Kanta, plany Saint Pierre'a, propozycje Rousseau. U nas — Staszica. Wszyscy myśleli o tem, kiedy narody do siebie „dońdom" i jak to im ułatwić.

Prof. Władysław Smoleński w „Księdze Pamiątkowej ku czci prof. O. Balzera" przypomina m. i. rozprawę ks. Kajetana Skrzetuskiego z roku 1775 p. t. „Projekt, czyli ułożenie nieprzerwanego w Europie pokoju". Czytamy w tym projekcie: „Ustanowi się wieczysta i nieodwołalna liga między królami lub stanami. Te mianować będą prawomocnych posłów

do zjeżdżania na umówione miejsce, gdzieby się sejm czyli kongres ustawny odprawiał, na którym wszelkie zatargi, pretensje, krzywdy do związku generalnego wchodzących stron, drogą sądu polubownego ułatwiane i urządzane być mają". „Na takiej konferencji na pożytek Rzeczypospolitej Europejskiej mają być określone pewne przypadki, w których każdy aljant, zrywający powszechną umowę, za publicznego nieprzyjaciela osądzony i jako winowajca prześladowany będzie, t. j. jeżeliby się wzbraniał wykonywać ustaw powszechnej ligi; jeżeliby czynił przygotowania do wojny; jeżeliby kleił traktaty przeciwne ogólnej konfederacji; jeżeliby się wziął do oręża dla sprzeciwiania się jej wyrokom".

Ale ks. Skrzetuski dobrze wiedział, że narody nieprędko do narodów „dojdą" i rozumiał dlaczego. Pisze więc: „Jeżeli projekt ten zostanie bez egzekucji, to nie dlatego, aby był w ułożeniu swojem dziwaczny i niepodobny, ale, że ludzie, rozumem się zaszczycając, na uszczęśliwienie go swoje używać nie chcą; że moda jest taka, aby pięknie rezonować, ale źle robić; ogłaszać najpiękniejsze sentymenta, a najniegodziwszych akcyj dopuszczać się".

Słowa te z przed półtora wieku dziwną jeszcze mają świeżość, chociaż Liga Narodów już istnieje i już działa.

LIGA NARODÓW. Jesteśmy świadkami jednego z najciekawszych zjawisk w dziejach rodzaju ludzkiego: coraz poważniejszą rolę odgrywa instytucja, której samo powstanie leżało w sferze utopji.

O takiej międzynarodowej instytucji pisał na początku XVIII stulecia opat de Saint-Pierre, marząc o „konfederacji państw europejskich“.

Rousseau snuł myśli o „wielkiej Lidze zbrojnej“ jako rękojmi pokoju.

Saint-Simon nawoływał do zwołania „parlamentu Europy“, złożonego z przedstawicieli wszystkich parlamentów narodowych.

Kant, widząc w pokoju wieczystym najwyższy nakaz moralności ludzkiej, wskazywał drogę pokoju przez „związek narodów“.

U nas Staszic w „Rodzaju ludzkim“ sporo miejsca poświęca „zrzeszeniu narodów“ dla „stałego i ogólnego pokoju“, przytem podkreśla, że myśli o tej wielkiej sprawie „nie są marą, nie są tylko ideałem, są w naturze, są przeznaczeniem w postępie cywilizacji“.

Wszystkie te marzenia i wizje należały do... literatury. Zaliczono je do owych odwiecznych utopji, które rodziły się po wszystkie czasy z tęsknoty do całkowitej odmiany życia zbiorowego.

A dziś? Mężowie stanu, dyplomaci, szefowi rządów wszystkich państw, posłowie wszystkich parlamentów świata zajęli się... utopją. Zajęli się Ligą Narodów.

Zwycięstwo częściowe utopji widzimy już w tem, że przeniknęła na teren, który zawsze był jej przeciwstawieniem: na teren zimnej, trzeźwej myśli i doraźnego interesu. Hasła tej utopji nie odniosą całkowitego zwycięstwa ani dziś, ani w bliskiej przyszłości. Wszelako wyjątkowość zjawiska, rzecz nowa polega na tem, że idea należąca do sfery marzeń i pobożnych życzeń, wkroczyła w środowiska od tej sfery dotychczas najbardziej dalekie. Więc chociaż nie można oddawać się złudzeniu, że duch pokoju rychło i niepodzielnie w tych środowiskach zapanuje, to jednak stwierdzić można, że duch ów już tam działa, niepokoi i zaprząta umysły. A raz odniósłszy takie zwycięstwo, nie opuści z trudem zdobytej dziedziny, nie wycofa się do swoich dawnych przybytków, by, jak dawniej, żyć tu jedynie cichem, marzycielskiem westchnieniem.

Dlatego słusznie pisze Stanisław Bukowiecki w swej znakomitej książce „Polityka Polski niepodległej“:

„Ludzkość powojenna z Ligą Narodów jest czemś różnem od tego, czem była dotychczas. Powstanie Ligi jest niewątpliwie ogniwem w wielkim łańcuchu dążeń dziejowych do zespolenia ludzkości, ale ogniwem o tyle potężniejszem i w istocie swojej odmiennem od poprzednich, że stanowi z pewnością początek nowej ery“.

A początek nowej ery, jak zawsze w dziejach, rodzi się w męce i mozole, przy zamieraniu starych norm i kryterjów, przy niewyraźnem jeszcze rysowaniu się nowych drogowskazów, czyli — innemi słowy — w epoce kryzysu.

Raju na świecie niema i nie będzie, ale postęp świata jest faktem rzeczywistym.

NAUKA

ŚWIATŁO INTELEKTU. Może kiedyś uświadomi sobie szerszy ogół, jakie znaczenie dla przyszłości rodzaju ludzkiego ma współpraca umysłowa narodów, ujęta w karby organizacyjne przez instytucję międzynarodową. Odbyty w Warszawie zjazd Komisji narodowych współpracy umysłowej przy Lidze Narodów nie wzbudził takiego zainteresowania, na jakie zasługuje. Kłopoty polityczne całkowicie zaabsorbowały myśl zbiorową. Więzi ją i pomniejsza aktualność, zasłaniająca horyzonty przyszłości. Wydaje się ludziom, że to, co uważają w danej chwili za sprawę, wobec której wszystko odsunąć trzeba na plan dalszy, będzie tak samo ocenione przez historję. Historja ma inne kryterja, niż myśl aktualna: wskazuje, że t. zw. wielkie kwestje są nieraz przemijającą tylko troską społeczeństwa, natomiast znaczenia dziejowe mają niekiedy sprawy, któremi ogół zajmował się mało, lub na które żadnej nie zwracał uwagi. Takie właśnie sprawy wysuwa świat nauki, świat, zmieniający obraz życia człowieka na ziemi, niosący największe przemiany, przewroty, rewolucje, wyznaczający niespodziewanie nowe kierunki rozwoju. Myślę, że uczony Faraday odegrał w realnem życiu ludzkości większą rolę, niż cesarz Napoleon. Motor elektryczny zmienił to życie szybciej i silniej, niż skutki wojen. Uczony w swem cichem laboratorjum niesie czasem ludzkości większe zmiany, niż te, które mogą

wyniknąć z tysiąca wieców politycznych. To też uczony, świadomy swej ogromnej roli, stoi często na uboczu i nie martwi się, że go narazie zagłusza polityk, że go nawet usuwa w cień, że go lekceważy. Uczony jest cierpliwy, cierpliwość jest bowiem jedną z cech wielkości. Cel daleki, a wspaniały, droga trudna, a pełna wzniosłości, wysiłek ciężki, ale dla ducha badawczego rozkoszny — oto wieczna zachęta i wieczna podnieta największych budowniczych mądrzejszego jutra. Uczony trwa przy swoim warsztacie i pracuje z myślą o przyszłości, niezrażony orgjami głupoty, jakie się odbywają pod jego oknami. Może powiedzieć tak, jak przez tłum ateński gnany i wyśmiewany Diogenes rzekł do nieznajomego przechodnia: „Nie uważam się za obrażonego".

Dziś na całym świecie widzimy olśniewające, niespodziewane zwycięstwa genjuszu ludzkiego, nieznany w dziejach rozpęd cywilizacyjny, postęp nieustanny i ogromny, mimo wszystkie niedole, błędy i szaleństwa epoki. Pozapalały się nowe światła na wszystkich drogach pracy i twórczości. Nowoczesny apostoł w swej pracowni naukowej zwalcza przeszkody czasu i przestrzeni, ogłasza z katedry wyniki swych natchnień badawczych, poprzez gąszcz tajemnic natury posuwa się coraz dalej i dalej, odsłania wciąż nowe zagadki, ukazując wielkość i tajemniczość świata, pogłębiając przez to poczucie religijne człowieka. Myśl zdobywcza, a zarazem skromna i pokorna, obala przesądy stuleci, usuwa przeciwieństwa, które różniły ludzi w pojęciach zabobonnych, pomniejsza tedy siłę nienawiści i uprzedzeń.

Nauka zbliża narody. Solidarność międzynarodowa wymaga poczucia wspólnego interesu, ale proces uświadamiania sobie tego interesu odbywa się z trudem i powoli, hamowany jest przez brzemię tradycyjne uprzedzeń. Wszelako: narody podzielone przez obyczaj, język, usposobienie i wszystkie odrębności kultury, przez wszelkie rywalizacje i przesądy, nie są podzielone przez odrębną narodową matematykę, chemję, czy fizykę.

Powiedział wielki Pasteur: „Ojczyznę ma uczony, ale nie ma jej nauka". Ludzie nauki różnych narodów chcą sobie pomóc wzajemnie w pracy, której promieniowanie nie zna słupów granicznych.

TRYUMF ENTUZJAZMU. Odbyła się w Paryżu piękna uroczystość. Prezydent Republiki francuskiej wyraził podziw i wdzięczność dla Marji Curie-Skłodowskiej i zmarłego jej męża — z okazji 25-tej rocznicy odkrycia radu.

Nietylko genjusz święci tu tryumfy, ale i olbrzymia praca, namiętne ukochanie nauki. Jest to tryumf entuzjazmu niezrażonego żadnemi przeszkodami. Powiada Guyau, że „świat należy do entuzjastów, którzy z całą świadomością mieszają przyszłość z teraźniejszością, traktując przyszłość, jakgdyby była obecną; należy do umysłów syntetycznych, skupiających w jednym uścisku ideał i rzeczywistość, do ludzi woli, umiejących porwać się na rzeczywistość, skruszyć jej sztywne zarysy, zmuszając do ujawnienia tego, co jest nieznane, a co umysł zimny i chwiejny z tem samem prawdopodobieństwem mógłby nazwać możliwością, lub niemożliwością. To są prorocy i mesjasze nauki". Do takich należy Marja Curie-Sklo-

dowska. W jej pamiętnikach o badaniach nad promieniotwórczością, prowadzonych wespół z mężem, czytamy te słowa: „W szopie tej, w której latem niemiłosiernie piekło słońce, a zimą słabo ogrzewał piecyk żelazny, bez podłogi, o oszklonym dachu, niedostatecznie chroniącym nas przed niepogodą, spędziliśmy najszczęśliwsze lata naszego istnienia, poświęcając się całkowicie pracy. Nie bacząc na to, że byliśmy pozbawieni tych wszystkich udogodnień, które w wysokim stopniu ułatwiają pracę chemika, wykonaliśmy tam mnóstwo doświadczeń nad wciąż wzrastającymi ilościami materji. O ile doświadczeń tych nie można było wykonać zewnątrz szopy, musieliśmy wchłaniać szkodliwe gazy, które powoli uchodziły przez otwarte okna. Cały inwentarz składał się ze starych, zużytych stołów jodłowych, na których rozkładałam cenne odłamki koncentracji radu. Nie posiadając żadnego sprzętu, w którym mogliśmy umieścić otrzymane preparaty promieniotwórcze, rozkładaliśmy je na stołach i półkach. Przypominam sobie dokładnie zachwyt, jakiego nieraz doznawaliśmy, gdy wypadło nam czasem wejść w nocy do naszej pracowni, na widok słabo lśniących sylwetek, owoców naszej pracy, jakie ze wszech stron ku nam spoglądały“. (Z przedmowy do dzieł Piotra Curie).

Prawdziwie symboliczne światełka, ukazujące się w nocy ludzkiej niewiedzy...

DOKTÓR MENARD. W nocy z dnia 7-go na 8-my sierpnia 1926-go roku zakończył swój święty żywot doktór Maxime Menard, dyrektor kliniki radjologicznej w paryskim szpitalu im. Cochin'a. O jednym

z największych bohaterów naszych czasów nie będzie głośno na szerokim świecie. Bowiem nie odznaczał się niczem na targowisku politycznem, nic nie robił dla reklamy, żadnej nie budził sensacji wśród szerokiej publiczności. Imię doktora Menarda nigdy może nie osiągnie zasłużonej sławy, a już napewno zakasują go rozgłosem rozmaici wojacy, aktorzy, literaci i sportowcy.

Jako lekarz-rentgenolog, doskonalił swą metodę leczenia przez ustawiczne prace laboratoryjne, nie zwracając uwagi na żadne niebezpieczeństwa. A wiadomo czem grożą organizmowi badania rentgenologiczne. Już w roku 1910-tym doktorowi Menardowi amputowano pierwszy palec. W latach następnych, niemal każdego roku, traci dalsze. Kiedy ku przerażeniu asystentów i uczniów, w roku 1919-tym amputowano ostatnie palce, oświadcza, że nie chce już myśleć o powstrzymaniu rozwoju choroby, która tak głęboko wżarła się w jego organizm. Prace badawcze będzie prowadził nadal ku pożytkowi ludzkości, przekonał się bowiem, że drogą takiej ofiary osiągnąć można wielkie wyniki i ulepszoną przez badania metodą leczniczą przynieść ulgę w cierpieniach człowieka, związanych z różnemi chorobami. Od roku 1919-go organizm doktora Menarda zaczyna się poprostu rozkładać. Amputacji ulegają wargi, potem uszy, potem policzki. W roku 1925-tym usunięto mu lewe oko. Od tej chwili cały rok spędza w ciemnym pokoju. Lecz i tu pracuje, śledząc rozwój swej choroby i notując najdrobniejsze jej objawy. Cierpi przytem straszliwie, ale panuje nad bólem siłą ducha nadludzką. Mówił do przyjaciół, że i z tych jego

cierpień korzyść wyniknie dla ludzi, bo dokładna obserwacja choroby wzbogaci medycynę. W końcu całe ciało Monarda staje się jedną krwawiącą raną.

Nasuwa się niepokojące pytanie: czy rodzaj ludzki zasługuje na taką ofiarę?

OBCOWANIE Z CUDEM. Piszą nam i wyjaśniają codziennie, że żyjemy w epoce kryzysu, że wszystko popadło w chaos i degenerację: w życiu politycznem i społecznem — tysiąc znaków zapytania, w moralności — nowa Sodoma i Gomora, w literaturze — i sztuce — osłabienie lub upadek. Jest wszelako dziedzina pracy i twórczości ludzkiej, o której najwięksi alarmiści nic zatrważającego powiedzieć nie mogą. To świat nauki. Nie widać tu znamion kryzysu. Przeciwnie, myśl naukowa żyje życiem bujnem, bogatem, wspaniałem. Twierdze jej mocno były zbudowane, skoro oparły się wszystkim siłom niszczycielskim epoki. Duch tam panuje niezłomny w swych dążeniach, niewyczerpany w niepokoju twórczym, nienasycony w ambicjach.

Jagadis Chandra Bose. Nowe dla Europy nazwisko. Nowe, ale już z podziwem wymawiane. Genjalny przyrodnik hinduski, po trzydziestu latach benedyktyńskiej pracy, wyjaśnia nam, jak oddychają rośliny. Na odbytych niedawno kongresach naukowych w Oksfordzie i Genewie demonstrował reakcje nerwowe mimozy. Jedno to tylko z odkryć, jakich dokonał w swoim sławnym już instytucie biologicznym w Kalkucie. Granice pomiędzy t. zw. światem organicznym i t. zw. nieorganicznym zaciera. Ukazuje kosmos żyjący i uduchowiony. Otwiera nowe horyzonty na

drogach wiedzy ścisłej. Znakomity Einstein pisze, że Bose za każde swe odkrycie zasługuje na pomnik w Lidze Narodów.

Z kraju, skąd przeważnie przychodzi do Europy egzotyczna anegdota, którą karmią się nasze histeryczki i nasi półinteligenci, szukający podniet w najwulgarniej pojmowanych naukach okultystycznych, z tego kraju płynie dziś nowe światło wiedzy, witane z podziwem i entuzjazmem przez nasze największe powagi. Nie fakir to żaden, nie „mistrz Yogi“ ale wielki uczony, w skarbnicy genjuszu ludzkiego składający nowe dary. Trzeba zanotować objaw entuzjazmu, jaki wywołał w europejskim świecie naukowym.

To cud! — wołano, patrząc na doświadczenia genjalnego Hindusa. Św. Augustyn pisał: „Cud nie stoi nigdy w sprzeczności z naturą, jeno z tem, co nam jest o naturze wiadomem!“ („De Civitate Dei“). Tak rzecz pojmując, możnaby powiedzieć: wszystko jest cudem, z którym nauka nieustannie obcuje.

O KOMECIE ORKISZA. W czwartym tomie wydawnictwa im. Mianowskiego p. t. „Nauka polska, jej potrzeby, organizacja i rozwój“, kierownik obserwatorjum astronomicznego w Krakowie, prof. Tadeusz Banachiewicz pisał o głębokiej, a idealnie czystej rozkoszy duchowej, jaką dla wielu osób jest kontemplacja zjawisk niebieskich. W doskonałym szkicu udzielił wskazówek podstawowych miłośnikom nieba gwiaździstego, którzy pragną własną pracą przyczynić się do postępu w ukochanej przez nich nauce. Tam też prof. Banachiewicz napisał: „Może i z Polski

raz wreszcie zasygnalizowane zostanie odkrycie komety". Dotychczas bowiem ani jeden z tych wiecznych po niebie wędrowców nie został odkryty u nas, mimo że od setek lat astronomowie polscy — mówiąc ich żartobliwym stylem — „zamiatają" niebo dużemi i małemi lunetami.

I oto w dniu 3-go kwietnia 1925-go roku o godz. 4-tej rano p. Lucjan Orkisz, asystent obserwatorjum krakowskiego, delegowany na prowizorycznie jeszcze urządzoną stację tego obserwatorjum w Beskidach, na górze Łysinie, odkrył nieznaną kometę dziewiątej wielkości na wschód od gwiazdozbioru Pegaza. Obserwatorja polskie i zagraniczne potwierdziły to odkrycie, a Międzynarodowa stacja w Kopenhadze nadała nowej „gwieździe ogoniastej" imię Orkisza. Tak więc wśród blisko tysiąca komet odkrytych dotychczas, jedna przynajmniej nosi imię Polaka. Płynie sobie teraz po niebie i między gwiazdami przebiega obłoczek świetlny, imieniem uczonego polskiego ochrzczony.

Praca astronoma jest piękna i szlachetna. Myśl uczonego wykracza z kręgu spraw ziemskich i wielkością swoją obejmuje kosmos, nic bowiem niemasz śmielszego, ponad myśl. Zarazem gorąco bije serce uczonego, który pogrąża się w kontemplację tajemnic i zagadek nieba. W cyfrach, obliczeniach i męczących obserwacjach astronom znajduje zawsze potężną emocję. Jest z tych ludzi, którzy prawdziwie kochają naukę, a o których tak pięknie pisał Romain Rolland: „Ils aiment la science... Ils l'aiment pour elle-meme, parce qu'elle est belle, seule belle, seule reelle"...

Niekiedy mijają dziesiątki lat pracy astronoma,

który nic szczególnie nowego nie wnosi do nauki, lecz przekazuje swoje obserwacje następcom. Ale ta metodyczna, stała praca, to ustawiczne patrzenie miłosne na niebo umożliwia nierzadki też wypadek niezwykłego spostrzeżenia. Tak małomiasteczkowy aptekarz Schwabe, idąc za wskazówką astronoma Hardinga, w ciągu 43-ch lat notował, ile plam widać na tarczy słońca, a w wyniku tej pracy odkrył jeden z najważniejszych faktów astronomji i zarazem kamień węgielny geofizyki: perjodyczność, zachodzącą w ilości plam na słońcu. Całe dzieje astronomji mówią nam o twórczym uporze w pracy i wiecznie niespokojnej ambicji myśli ludzkiej.

I w Polsce mamy garstkę znakomitych na tem polu pracowników. Lucjan Orkisz sprawił im niemałą radość.

Zaznaczyliśmy na niebie swoje oglądanie świata. Duch Kopernika uśmiechnął się życzliwie.

LITERATURA

POMIESZANIE POJĘĆ. Konwencję w sprawie zwalczania pornografji, zawartą w roku 1923-cim, Sejm nareszcie ratyfikował. Z tego powodu odezwały się tu i ówdzie głosy o uzdrowieniu naszej literatury. Konwencja ma nas zobowiązywać do przestrzegania zasad moralności w utworach literackich, mamy być bardziej powściągliwi w poruszaniu t. zw. tematów drastycznych. Otóż ratyfikowana konwencja, której celem jest walka z międzynarodowym śmietnikiem pornograficznym, pod żadnym względem nie krępuje literatury i sztuki, nie narzuca nikomu fałszywych pojęć moralności, nie woła o pruderję, nie ogranicza „tematu“.

Już znakomity Ignacy Matuszewski zwraca uwagę, że zarzut niemoralności, czyniony wielu utworom literackim, wynika często z nieświadomego pomieszania zupełnie różnych pojęć: niemoralności, jako żywiołu psychologicznego, niemoralnej tendencji, oraz nieprzyzwoitości. Niemoralność traktowana przedmiotowo, jako czynnik psychologiczny, jest poprostu niezbędna, nietylko w powieści, ale i wogóle w sztuce, każdy bowiem konflikt etyczny zaczyna się dopiero z chwilą, kiedy obrażono prawa moralne. Przypomnijmy sobie tylko, jakie motywy obrabiał Eschylos (matkobójstwo) i Sofokles (kazirodztwo). W każdej bajce Lafontaine'a, czy Krasickiego, której uczymy nasze dzieci na pamięć, tkwią jakieś pierwiastki nie-

moralne: oszustwo, złodziejstwo, zdrada. Gdyby chodziło o zwycięską walkę z t. zw. niemoralnym tematem, należałoby zniszczyć całą niemal literaturę wszechświatową i stworzyć nową, niemającą prawie nic wspólnego z życiem ludzkiem, z ludzką rzeczywistością. Co innego sprawa tendencji. Tendencja jest w sztuce często balastem, zaś tendencja niemoralna byłaby rzeczą szkodliwą. U „niemoralnego“ pisarza, Emila Zoli — jeśli już mówimy o tendencji — wszystkie typy ujemne kończą prawie zawsze w sposób tragiczny, lub wręcz ohydny. Zarzut „nieprzyzwoitości“ bywa niekiedy słuszny, ale i ten zarzut da się odeprzeć, kiedy nieprzyzwoitość podana jest przez prawdziwy talent i rzeczywisty humor. Nie wykreślimy z literatury komedji Arystofanesa, nie spalimy utworów Rabelais'go, który — jak powiada Matuszewski — niby Gigant starożytny wali Pelion błota na Ossę sprośności.

NIEPOROZUMIENIE. Napisali niektórzy, że dzieła Stefana Żeromskiego są niebezpieczne dla młodzieży. Z tej racji zwalczają twórczość wielkiego pisarza.

Stefan Żeromski pisał dla dorosłych. Niektóre tylko, stosunkowo nieliczne, jego utwory, można dawać do czytania dzieciom. Inne — lecz nie wszystkie — wspaniałą stanowią lekturę dla młodzieży dorastającej. Jeszcze inne — tylko dla ludzi dojrzałych.

Tak dzieli się twórczość wszystkich wielkich pisarzy literatury wszechświatowej. Balzaca nie powinny czytać dzieci. Ale o powieściach Balzaca człowiek kulturalny może powiedzieć tak, jak Godfryd Keller o „Żywotach mężów sławnych“ Plutarcha: „Nie rozumiem, jak mogłem żyć, nie znając tego arcydzieła“. Kiedy w czternastym roku życia czytałem Dostojewskiego, chciałem popełnić samobójstwo. Później czytałem go z uczuciem podziwu, ale i z myślą krytyczną, więc z największym pożytkiem. Ponurą rolę odgrywałyby dzieci w dziejach twórczości ludzkiej, gdyby każdy utwór literacki miał się stosować do programu szkółki freblowskiej, albo szkoły średniej. Ludziom dorosłym też się coś należy.

Ciemnym głowom wydaje się, że pomniejszą olbrzyma, czyniąc zeń straszaka na dzieci. Wał ochronny, utworzony nieuczciwie z dzieci, nie zabezpieczy tych, przeciwko którym wymierzone są strzały wielkiego łucznika.

OBŁĘD NA ROZSTAJNYCH DROGACH. Radzę przeczytać książkę Borysa Sawinkowa p. t. „Koń wrony“. Ukazała się niedawno w przekładzie polskim. Jest to rzecz straszliwie, otchłannie rosyjska. Tu ujrzymy nietylko snop światła, rzucony na psychologiczną zagadkę „apostazji“ Sawinkowa, ale cały egzotyczny, odrębny świat uczuć. Ujrzymy duchowy chaos przerażonej barbarji i wszystkie pierwiastki rosyjskiego satanizmu, raz spowitego w płaszczu melancholji, kiedyindziej z rozkoszą pławiącego się we krwi, raz zatroskanego o największe zagadnienia bytu człowieka na ziemi, kiedyindziej cieszącego się swoim bezgranicznym cynizmem. Tak żyjąc w komedji czy tragedji najkrańcowszych kontrastów, ów człowiek rosyjski „wyje z bólu“ i nigdy nie wie komu poddać się ma ostatecznie: Bogu, czy Antychrystowi.

Pamiętnik pułkownika „wojsk zielonych“, walczą-

cych z bolszewickim „biesem“. Najbliższym pomocnikiem pułkownika jest żołnierz Fiedia, doskonale, wzorowo rosyjski. Fiedia lubi o zachodzie słońca grać tęskne melodje na harmonji. Kocha zwierzęta. Kocha niebo. Fiedia lubi również palić człowieka żywcem na stosie — „pomaleńku...“ Fiedia jest prawą ręką dowódcy i katem na każde zawołanie. Któż są zresztą wszyscy ludzie pułkownika, wierni, oddani mu i dobrze walczący? Tacy sami bandyci, co po tamtej stronie. Dobrze o tem wie. Sam pisze, że to „tacy sami zbóje“. Żyją gwałtem, pogromem i grabieżą. Sobowtóry własnych wrogów, „namaszczeni jedną i tą samą mirrą“.

I stąd niepokojące pytanie: kto właściwie i z kim walczy? Pierwsza wątpliwość: „Brat przeciwko bratu, czy robak przeciwko robakowi“? A skoro obydwie strony są całkiem jednakie, jako zwierzęta w ciele ludzkiem, to któż i nad kim ma panować? Tu rozterka wciąż rośnie. Pułkownik pisze w pamiętniku: „Obojętne mi jest, kto bywa w Jarze, czy pijany wielki książę, czy „zalany“ marynarz z kolczykiem w uchu. I obojętne mi, kto się wzbogaca — cesarski urzędnik, czy przekonany komunista, wszak nie samym chlebem człowiek żyje“ (!). Albo: „Czy nie wszystko jedno, jaka władza rządzi krajem: z Łubianki, czy z Ochrany? „Boć kto marnie sieje, ten i marnie zbiera“. Więc cóż ma być dalej? Wiec poco się walczy? Koszmar wątpliwości rośnie i zamęcza duszę. „Niewiadomo o co właściwie walczymy...“

A jednak... jednak — trzeba zabijać!... „Trzeba“. Czemu? Tu zaczyna się w pamiętniku pułkownika „filozofja“: „Człowiek żyje i oddycha zabójstwem,

błąka się w krwawej oćmie i w krwawym mroku umiera. Dzikie zwierzę zabija, gdy głód da mu się we znaki. Człowiek zabija ze zmęczenia, z lenistwa, z nudy. Takie jest życie“!...

A marzenia, marzenia? Są i one:

„Przeminie czas i nie będzie ani szubienic, ani egzekucji“. Ale tymczasem — „jest jeno wszechpaństwowa, wszechchłopska, wszechrosyjska chłosta, taka sama, jak była za cara — i po to przelano morze krwi?“

Pytania coraz groźniejsze, a nadewszystko: gdzie prawda? Oto ból bólów. „Kto stoi bliżej prawdy — święty Kasjan, czy święty Mikołaj? Kasjan w szatach pobożności i modlitwie, czy Mikołaj we włosiennicy, we krwi i błocie? Cóż wiemy? Czy dane nam jest wiedzieć?“ Czy pomoże Pismo święte wciąż w pamiętniku przytaczane? Co mówi wizja św. Jana? „A oto koń wrony, a który na nim siedział, miał szalę w ręce swojej“. Komu, komu sądzono trzymać „szalę w ręce?“ Niewiadomo.

Ale chociaż „niewiadomo“, pan pułkownik wciąż wydaje rozkazy wieszania, rozstrzeliwania, dekorowania słupów latarnianych trupami. I płacze: „Spłynęła łzami cała Rosja — uwiądł wielki naród...“ I pędzi w pole, w las „dyszący poziomkami“. A na polu wzruszają go kraśne maki, bursztynowe kłosy i modre gwiazdki bławatków...

A ojczyzna? Dwie odpowiedzi jednego człowieka: „Djabli mi nadali urodzić się Rosjaninem“ i — „Rosja... dla niej, dla matki naszej — nasze życie i nasze ślepe ukochanie“.

Obłęd. Bezdroża. Pijany świat.

KLĘSKA MISTRZA JURENITO. Głośna powieść J. Erenburga p. t. „Niezwykłe przygody Julja Jurenity“, przełożona niedawno na język polski, jest wymownym dokumentem epoki. Czyta się ten utwór z niesłabnącem zainteresowaniem i z niemniejszem wstrętem. Napisał kiedyś Mereżkowski, że Rosja jest odwrotną stroną Europy. Możnaby powiedzieć, że Erenburg widzi tylko odwrotną stronę świata, zaiste ohydną. Daje mu ona ogromne pole do dowcipu, przeważnie jednak t. zw. „krwawa ironja“ nie jest tu głębszą satyrą, lecz jedynie kpiarstwem. Obraz współczesnego świata został w tym utworze przełamany przez pryzmat rosyjsko-żydowskiego nihilizmu, a więc nihilizmu w drugiej potędze. Niema chyba książki w literaturze wszechświatowej, w którejby ten właśnie nihilizm ujawnił się z taką, jak w tej wyrazistością i tak dokładnie. Poprostu obnażył się w całym swym bezwstydzie. I z tego względu książka p. Erenburga jest cennym dokumentem nietylko literackim, ale i społecznym.

Autor dużo pisze o sobie, ze szczególnem zaś upodobaniem opisuje te swoje zajęcia, do których pchnęła go „sromota ziemi“. Naprzykład: jak podczas wojny sprawował czynności kasjera w domu publicznym dla wojskowych. Przed wojną pił absynt w knajpach paryskich, deklamując wiersze św. Teresy i przeklinał Paryż, to „objedzone, opiłe i wylegujące się na pierzynach miasto“. Po wojnie i po pobycie w Rosji bolszewickiej wraca na Zachód, przyczem cała ta podróż była dlań „nieprzerwaną demonstracją tryumfu pokoju, ładu, rozsądku i cywilizacji“, szczyt zaś radości osiąga w „drogim i kochanym“

Paryżu“. Ale jest to tylko uśmiech żołądka, który chce spokojnie jeść kotlet i pić wino. A w duszy? „Pustka i spokój“. Wobec tego w zakończeniu książki autor śle „ostatni pocałunek wszystkim braciom bez Boga, bez programu, bez idei, nagim i wzgardzonym, miłującym jeno wiatr i skandal. Hurra! Vive! Živjo! Hoch! E viva! Banzaj! Trach-tararach!“

A czem jest mistrz Juljo Jurenito, ten rosyjsko-żydowski Zaratustra? Ma to być genjalny jasnowidz, wszystko rozumiejący i wszystko przewidujący. Uczniowie słuchają go w skupieniu. Z ust sączy mu się sama „mądrość“. Zrazu jest tylko cynikiem, uważa, że mówić poważnie, po akademicku, z namaszczeniem można tylko o sposobach przepalania fajek, o rozmaitych systemach plucia z pogwizdywaniem, lub bez, o układzie nóg bezkonkurencyjnego Chaplina.

Po wybuchu wojny głosi filozofję fatalizmu, konieczności, której nie należy się przeciwstawiać: „nie atakować, ale pielęgnować ognisko zarazy, rozpełzające się i gotowe pożreć nawpół zgniłe ciało“. Chodzi o to, żeby świat dzisiejszy zgnił jaknajprędzej, do reszty. Z tej racji błogosławi wojnę, „jako pierwszy dzień gorączki tyfusowej, która człowieka odrodzi, albo zabije, przygotowując ziemię dla nowych kanalji, lub dla zwycięskich legjonów szczurów, mrówek i infuzorji“.

W Rosji bolszewickiej głosi pochwałę tyranji, jako że ludzkość „dojrzała do jarzma“ i błaga komisarzy bolszewickich: „Nie ozdabiajcie kija fijołkami“. Śmieje się z fikcji wolności i zarzuca bolszewikom słabość: „Rząd bez więzień jest pojęciem przewrotnem i nie-

przystojnem, czemś w rodzaju kota o obciętych pazurach".

Dalsze ewolucje mistrza Jurenito: w mieście zajętem przez „białych" pretenduje do rosyjskiego tronu. Potem, potem snuje marzenia o „harmonji", poza którą „niema życia, jest jeno egzystencja ludzi i plemion". Wreszcie mistrz popada w otchłań... przerażającej nudy i żegna się z „uczniami" na zawsze.

Przypomnijmy sobie, czem jest dowcip Woltera, albo satyra Bernarda Shaw, albo sceptycyzm Anatola France'a, a potem przeczytajmy powieść Erenburga. Będziemy wiedzieli, jaka jest różnica pomiędzy Europą, a dzisiejszą Rosją.

SPÓR O IDEĘ. Dużo pisało się o powieści Stefana Żeromskiego „Przedwiośnie". Nietylko mistrzoski kunszt słowa, nietylko rzeczy straszne i rzeczy piękne, tu opisane, zwróciły wyjątkową uwagę na ten utwór. Stefan Żeromski każe nam zastanowić się nad zagadnieniem największem z pośród wielkich: jaką ideą żyje Polska niepodległa? Czy ją posiada? Co może przeciwstawić wszystkim argumentom politycznej negacji, zebranym w mózgu dzisiejszego rewolucjonisty?

Więc nasamprzód przez usta komunistów daje obraz rzeczywistej niedoli pracującego ludu. Ten wykład jest przerażający. Potem charakterystyka młodzieńca opanowanego komunistyczną doktryną. Żeromski nie robi zeń karykatury. Nie daje typu płatnego agenta obcego mocarstwa, ale właśnie „ideowca najczystszej wody". Nie jest to ani prowokator, ani jakieś zwierzę w ciele ludzkiem. I dlatego właśnie

racje patrjotyczne, jemu przeciwstawione, nabierają istotnej siły i powagi. W „Bolszewikach" Sieroszewskiego występuje szereg postaci zwierzęcych i łajdackich. Dyskusja z nimi łatwa przez to właśnie, że są tylko łajdakami. Ale przez to zarazem ideowa strona „Bolszewików" szwankuje: niema tam przeciwstawienia idei narodowej komunizmowi, jako takiemu, nietylko w jego postaci najpotworniejszej. A dopiero wówczas umacnia się narodową i państwową w tym sporze pozycję. Dopiero wówczas wygrywa się walkę z ideami wroga. U Żeromskiego chce tę walkę wygrać nie jakiś drobno mieszczański matoł i nie jakiś poczciwy zaściankowy typ, ale człowiek światły, łączący w sobie gorący patrjotyzm z wielką kulturą umysłową, człowiek, którego duchowymi przewodnikami są takie chluby dawnej przedwojennej Warszawy, jak Marjan Bohusz, Stanisław Krzemiński, Edward Abramowski.

Rozmowa światłego człowieka i czynnego patrjoty z buntującym się, ideowym młodzieńcem, daje dopiero istotę sporu, maluje najgłębszą rozbieżność dwóch światów myśli i uczucia. Taka jest rozmowa Szymona Gajowca z Cezarym Baryką. Gajowiec starszy, mądrzejszy i głębszy, chce wygrać zasadniczy spór. Czy wygrał całkowicie? Ma on swoje racje niewzruszone, ma drogę swojej pracy realnej dla wskrzeszonego państwa, ale zarazem widzi i dobrze odczuwa, że nie wszystko, co mówi Baryka, jest niedorzecznością, zwłaszcza, kiedy ten ostatni pyta: „Jaką wy macie ideę Polski w tym świecie nowoczesnym, tak nadzwyczajnie nowym? Jaką?" Szymon Gajowiec daje dobrą odpowiedź: „Zbyt wielu

mamy wrogów dokoła i na szerokim świecie, wewnątrz i nazewnątrz, ażebyśmy dziś i na długie lata mogli wypracować i ustalić na naszych drogach ideę. Gdy mnie kto w nocy napadnie, to moją wtedy ideą jest — obronić się! gdy mi wciąż grozi, że z domu wygoni i na niewolnika mnie weźmie, to oczywiście, muszę przygotować sobie coś do obrony. Obronić się przed straszną koalicją wrogów — otóż pierwsza idea". Ale w tym sporze widać, że Szymon Gajowiec radby ujrzeć i wielkie idee Polski, jako potężny przecież środek narodowej obrony, ten, któryby ostatecznie zmiażdżył symplistyczne tezy Baryków i Lulków.

Powieść kończy się obrazem, który jest jakby groźnym znakiem zapytania: zbiedzony tłum robotników idzie „na Belweder". Odpowiedź kryje się za zasłoną przyszłości. Jaka? Wielki pisarz daje wyraźnie do zrozumienia, ile ogromnego trudu, ile ofiary trzeba ponieść, żeby sprawę wygrał nie Baryka, nie Lulek, ale Szymon Gajowiec, mądry patrjota.

NIEZWYKŁA KSIĄŻKA. Jednym z najbardziej interesujących pisarzy rosyjskich jest dziś Wsiewołod Iwanow. Urodzony nad Irtyszem, na granicy kaukaskiego stepu, uciekł z wędrownym cyrkiem, gdzie pracował na trapezie, następnie był klownem „antraktowym", wreszcie „fakirem i derwiszem". W chwilach wolnych od zajęć czytał wszystko: „od Dumasa do Spencera i od sennika do Tołstoja". W szesnastym roku życia napisał pierwsze opowiadanie. Popierał go Gorkij. Kiedy wybuchła rewolucja bolszewicka, zapomniał o literaturze i rzucił się w wir walki,

chociaż zrazu nie rozumiał „różnicy między es-er i es-de" i zapisał się... do obu partji. Później „uświadomił się", wygłaszał mowy, pisał artykuły, bronił Omska w czerwonej gwardji przed nacierającymi Czechami: „Zdawało mi się, że kładą oni kres ludzkiemn szczęściu i wstyd mi było uciekać przed nimi w step". Po zwycięskiej rewolucji wrócił do literatury i dziś jest już autorem głośnym i poczytnym.

Nakładem wydawnictwa „Alfa" ukazały się w przekładzie polskim opowiadania Iwanowa p. t. „Powrót Buddy". Trudno w dzisiejszej literaturze znaleźć utwór lepiej malujący pewne pokłady psychiczne zbiorowości rosyjskiej. Ta książka straszliwa może zastąpić najobszerniejsze relacje o życiu ludzkiem w Rosji podczas i po rewolucji. Rzetelny talent Iwanowa w znakomitych skrótach wydobywa z krwawego chaosu zjawiska najbardziej istotne. Czasem w jednem zdaniu czy krótkim djalogu odsłania jakby nagłym ruchem oblicze t. zw. rosyjskiego sfinksa.

W dawnym pałacu hrabiego Stroganowa wśród różnych osobliwości artystycznych, stał posąg Buddy po łupiesku wywieziony przez carskiego generała Kaufmana z mongolskiego lamaickiego klasztoru w ajmaku Tuszutu-Chana. Na wysokim marmurowym piedestale, złocony, w wysokiej koronie. Na dłoniach i stopach — lotosy, u skroni — wachlarzowate ozdoby. Jest to fetysz, ubóstwiany przez mongolskie masy. Z inicjatywy szarlatana i złodzieja, podającego się za jednego ze świętych lamów i ich delegata, Rada Komisarzy Ludowych Komun Moskiewskich, urzędująca w pałacu hrabiego Stroganowa, postanawia wydać posąg Buddy w ręce przedstawicieli mongolskiego

ludu. Ekspedycja składa się z urzędników sowieckich, kierownika politycznego, towarzysza Anisomowa, i eksperta, profesora Safonowa.

Podróż z Moskwy do granicy mongolskiej, trwająca długie miesiące, ukazuje nam wszystkie kręgi piekielne Rosji bolszewickiej. Ta podróż z „bogiem“, okradanym z pozłoty, obtłukiwanym i wreszcie doszczętnie zniszczonym, podróż uczonego, który w ostatecznem pognębieniu myśli już tylko o jednem: co jeszcze możnaby wymienić na kartofle, mąkę i opał; ten niesamowity i potworny korowód bydląt w ciele ludzkiem, obłąkańców, grabieżców pijanych wolnością i „myślicieli“ gubiących się we mgłach fantasmagorji — to obraz prawdziwie symboliczny.

Książka Wsiewołoda Iwanowa pozbawiona jest „tendencji“, ale każda jej stronica — może nawet mimo woli autora — woła głosem krwawej ironji o grozie zbiorowego obłędu, wyzwalającego wszystkie sataniczne pierwiastki natury ludzkiej.

TEATR

BRAK ODPOWIEDZI. „Bolszewików“ Sieroszewskiego publiczność słuchała z wielkiem zainteresowaniem. Podczas przedstawienia na widowni panowało skupienie i duże napięcie uwagi, podczas antraktów — liczne komentarze. Jest to nietylko wydarzenie teatralne. Sztuka tego rodzaju ma znaczenie społeczno-pedagogiczne. W ocenie takiej sztuki wolno zastanowić się nad tem jej znaczeniem, nie zaś tylko nad jej wartościami artystycznemi.

W „Bolszewikach“ wygłaszane są liczne tyrady toczą się dyskusje, padają argumenty. Skłonność bolszewicka do nieustannego motywowania swoich racji, nawet podczas grabieży, została dobrze podpatrzona przez autora.

Czy w sztuce tej daje Sieroszewski należycie mocne odparcie ideologji bolszewików?

Kiedy przemawia Nuchim Grosberg-Sarnowskij, tyrada jego nie wymaga odpowiedzi, sam on bowiem zabija wszystkie swoje racje, przez to, że zieje nienawiścią, że w każdym swoim kroku jest postacią nikczemną i plugawą.

Kiedy mówi Gułaj, naczelnik bolszewickiej czołowej „letuczki“, można słów jego nie odpierać, bo jest zbrodniarz i kanalja.

Słowa Sofji Abramowny Korngold są pociskami jadu i wściekłości, a ona sama — uosobieniem zła. Czynami swojemi obala wszystkie swoje hasła. —

Kiedy natomiast w trzecim akcie komisarz Stefan Mikołajewicz Razin, człowiek dobry, szlachetny i po swojemu sprawiedliwy, wygłasza apoteozę rewolucji bolszewickiej, jako „sprawiedliwego sądu“, słuchacz odczuwa konieczność jakiejś przeciwwagi ideowej w tej szczególnie scenie. Staruszek Lasota odpowiada tylko jednem słowem: „Bóg“. Jest to wielkie słowo. Ale w tem starciu ma się wrażenie, że to jest bezradny wybieg wobec pozytywnych argumentów Razina, — że ten starzec nie jest w stanie odeprzeć wywodów szlachetnego tym razem komunisty. W tem miejscu sztuka jest przykra, jeśli chodzi o jej stronę ideową. Wrażenie ujemne zaciera się później przez doskonały bieg akcji i pełną uroku scenę zwycięstwa polskiego. Ale treść ideowa sztuki jest jakby niedociągnięta do należytego napięcia.

Istnieje tysiąc odpowiedzi, tysiąc kontr-argumentów, jakie można przeciwstawić nawet szlachetnemu komuniście.

SUB SPECIE AETERNITATIS. Niektóre sceny w „Gobelinie“ p. Wł. Jastrzębca-Zaleskiego są bardzo zabawne i nie dziwię się, że sztuka ta miała powodzenie. Literatura sceniczna zajęła się u nas paskarstwem nad wyraz gorliwie. „Gobelin“ był już szóstą sztuką, temu tematowi poświęconą. Na szczęście autor wydobył zeń pewien nowy motyw: dał postać paskarza o dobrem sercu, czyli człowieka, który nie uświadamia sobie swej ujemnej roli socjalnej, zła, jakie płynie z istoty jego zajęcia, ale człowieka, który, zdobywając pieniądze, sieje wśród swego najbliższego otoczenia dobro. Andrzej Kulbas

jest głupi, jest cham, ale ma serce poczciwe. Jego zetknięcie się ze światem arystokracji nie tworzy żadnej tragedji. Porozumienie odbywa się tu dobrodusznie. Ma nawet swoje dobre strony.

Otóż w takiem ujęciu sprawy tkwi — jakby powiedział Grabbe — i żart i głębsze znaczenie. Ten wzbogacony cham już nie budzi przerażenia, w każdym razie kulturalniejsze sfery społeczeństwa zaczynają się z tym faktem oswajać. Stało się. Powstała nowa klasa. W zetknięciu się z nią niema istotnie żadnego powodu do entuzjazmu, ale zarazem nieustające przerażenie i stan grozy ani tego faktu nie zmienią ani nikomu na zdrowie nie wyjdą.

Nowa ta klasa jest wysoce nieprzyjemna, ale i ona w końcu się nieco uszlachetni, a może nawet wyda z siebie całkiem przyzwoite pokolenie.

Zjawisko ewolucji od stanu chamstwa do szczytów kultury — stara to w dziejach ludzkich sprawa. Niezacne zawody były nieraz kolebką wielu szanownych rodów świata. Przecież Medyceusze, znakomici protektorowie sztuki i kultury, byli pierwotnie tylko lichwiarzami na czarnej giełdzie we Florencji. Jeden z potomków tej rodziny Jan, wzniósł się z czarnej giełdy (mówiąc stylem dzisiejszym) na wyższy szczebel i z początkiem XV-go wieku założył duży bank. Jego syn, Kosma, poza zajęciami bankowemi zajmował się polityką, należał do stronnictwa „ludowców“ („popolari“) i, obaliwszy patrycjat, chwycił władzę w swoje ręce. Zaś wnuk Jana, Wawrzyniec, otrzymał już miano Wspaniałego, był wielkim protektorem literatury, sztuki i nauki. A prawnucy Jana byli papieżami (Leon X i Klemens VII) i książętami, których

portrety malował Rafael, a ktorych pomniki rzeźbił Michał Anioł. Dalsi tego rodu potomkowie zasiadali na tronach Toscanji i Francji.

Nie chciałbym tym przykładem wbijać dzisiejszych paskarzy i dorobkiewiczów w ambicję, że są oto założycielami nowych rodów, które kiedyś będą popierały sztukę, literaturę i naukę. Dzisiaj musimy ich osądzać bardziej aktualnie, zwłaszcza kiedy chodzi o zastosowanie kodeksu karnego. Ale spojrzawszy na te rzeczy sub specie aeternitatis, zdobyć się możemy na pogląd nieco łagodniejszy, uśmiechnąć się na myśl o wielu sprawach, które dziś budzą taką straszną grozę.

SPRAWA WIECZYSTA. Wystawienie „Nie-boskiej komedji“ może skłonić do głębszej zadumy nad wieczystemi sprawami rodzaju ludzkiego. Utwór ten nie jest, jak to się zazwyczaj pisze, proroctwem, czy jasnowidzeniem. Bunty ludu i broniące się twierdze jego panów — jeden to z wiecznych lejtmotywów w dziejach świata. Może tylko z wyjątkową mocą ukazał Krasiński tragedję żywiołów ginących. Ale sprawa sama toczy się ciągle, wśród tych samych klątw i tych samych błogosławieństw.

Echa nieubłaganej walki rozlegają się w komedjach Arystofanesa („Babie koło“ i „Bogactwo“), na przywódców zbuntowanego ludu narzeka później Demostenes: „Mówca, schlebiający komunistycznym instynktom mas, staje się natychmiast w oczach ludu wielkim człowiekiem“. Po klęskach i spustoszeniach wojny Peloponeskiej, wśród coraz to wzrastającej po miastach koncentracji kapitałów i proletaryzacji

ludności, rozlegały się w IV-tym i III-cim wieku hasła reformy agrarnej, nowego podziału gruntów (ges anadasmós), a nawet hasła wywłaszczenia wszystkich posiadaczy bez odszkodowania.

Czasy nowożytne niosą nam epizody tej samej walki na wszystkich punktach globu. „Głosy wyrywające się z ust ludu w różnych punktach — pisał Adam Mickiewicz w roku 1833-cim — są wielką petycją, którą duch czasu zanosi z pokorą i składa przed progiem gabinetów, nim uderzy na nie kamieniami z bruku i bagnetami“.

Zygmunt Krasiński chciał dojrzeć i dosłyszeć rację obojga stron walczących. Wielką byłoby nierzetelnością czerpanie z „Nie-boskiej komedji“ jakichkolwiek tendencyjnych argumentów. Krasiński dał głos Pankracemu i hrabiemu Henrykowi, wznosząc się samemu w sferę racji wyższych, niż te, które kierują „chamem“ i „panem“.

Okrzyk ostatni Pankracego „Galilaee, vicisti!“ to już słowa samego poety, w rzeczywistości bowiem sprawa toczy się nadal. Rozmowa Pankracego i hrabiego Henryka wciąż trwa i bogaci się nowemi argumentami współczesnego życia.

OBAWY KRYTYKÓW. Niektórym warszawskim krytykom teatralnym zależało ogromnie na tem, żeby poprawić opinję dawnych szyprów holenderskich, o których z taką pogardą opowiada nam Heijermanns w „Nadziei“. Sztukę tę grał Teatr Polski, co owych krytyków przyprawiało o niepokój. Sądzili, że ze sceny Teatru Polskiego szło duże niebezpieczeństwo dla interesów dzisiejszego kapitalizmu, jakoteż dla spraw

rodziny, religji i państwa. Trzeba więc czemprędzej zrehabilitować szyprów holenderskich w opinji społeczeństwa polskiego. Nie byli tacy źli. Wysyłali na morze statki o zmurszałem dnie, gotując biednym rybakom niechybną śmierć, żeby otrzymać sumę ubezpieczeniową! Ale przecież — powiada jeden z krytyków — podczas burzy na morzu giną również najlepiej zbudowane statki! Utwór Heijermannsa — to tylko agitacja wiecowa, tylko — znów pisze inny krytyk — „miotanie się przeciw formom życia, istniejącym wiele, wiele tysięcy lat".

Rybacy holenderscy, wysyłani na morze na „pływających trumnach" mieli powód do niezadowolenia. Nie umieli sobie powiedzieć, że nie należy zmieniać „form życia" od tak dawna ustalonych. I w swoim buncie nie widzieli obrazy religji. Wciąż się nawet modlą, szukając u Boga pomocy przeciw swym ciemięzcom. Nie uważali, że trzeba pokornie umierać, skoro tego wymaga interes właściciela statku. Tak czasem myślą biedni ludzie i dlatego zmieniają się „formy życia" od bardzo dawna istniejące. Nic na to nie poradzi krytyk teatralny, przywiązany gorąco do przeszłości, która dla jednych znika jak „sen jaki złoty", a dla drugich — przeciwnie — jak obraz piekła na ziemi.

W chwalebnej trosce o łagodność w usposobieniu warstw ludowych, zwłaszcza robotniczych, większość warszawskich krytyków teatralnych odnosi się niechętnie do tych utworów, w których proletarjusz wykłada swoje racje w sposób zatrważająco plastyczny. Wogóle nie życzą sobie ci krytycy demonstrowania wielkich zagadnień społecznych na scenie.

Kiedy wystawiono „Dantona" Romain Rollanda, gniewali się na dyrekcję teatru, pomawiając ją o niedobre zamiary względem społecznego ładu, mimo, że Rolland nie szczędzi w tej sztuce ludowi i motłochowi słów niemiłej prawdy. Tadeusza Micińskiego „Kniaź Potiemkin" budził „pedagogiczne" zastrzeżenia, obawę, jako rzekoma podnieta rewolucyjnych nastrojów, chociaż sztuka ta jest przecież tak gorzkiem nad rewolucją westchnieniem. Nawet „Nie-boska komedja" Krasińskiego była widziana niemile, ponieważ przemawia tam nietylko hrabia Henryk, ale również Pankracy, obawiano się tedy, że aktor i reżyser położą zbyt duży nacisk na argumenty Pankracego, a w takim razie szłaby ze sceny niebezpieczna zachęta. Przedmiotem ataków był również teatr grający „Nadzieję" Heijermannsa, który tak żarliwie broni ludzi wyzyskiwanych, a nic nie ma do powiedzenia w obronie wyzyskujących, co jest mu poczytane za karygodną stronność.

Krytycy, o których mowa, nie zdają sobie sprawy, jak mocno przyczyniają się do upadku teatru, zwalczając repertuar rzekomo drażliwy i rzekomo niebezpieczny. Nie powiadam, że takie a nie inne tendencje społeczne winny zapanować na scenie. Powiadam natomiast, że teatr, trzymający się zdala od wszystkiego, co dziś najważniejsze, co najsilniej porusza publiczność różnych warstw, będzie skazany na żałosną wegetację. Nie uratuje go żadna dekoracja, ani jakiekolwiek pomysły inscenizacyjne. Jeden z teatrologów niemieckich, Wiedman, pisał, że „zegar świata scenicznego idzie szybciej, niż zegar sceny światowej", mając na myśli tych wielkich pisarzy

dramatycznych, którzy wyczuwali nadchodzącą przyszłość i byli zwiastunami późniejszych wydarzeń, jak naprzykład Molier, Beaumarchais, Schiller. Te czasy minęły. Dziś „zegar świata scenicznego“ przeważnie się spóźnia...

Anteusz był potężny i bez trudu dusił lwy, którymi karmił się w swojej libijskiej jaskini. Nikt mu w walce nie dorównał. Z czaszek swych ofiar budował dom dla swego ojca Neptuna. Siłę zapewniało mu dotknięcie ziemi. Odkrywszy tę przyczynę siły Anteusza, Herkules, walcząc, niósł go cały czas w powietrzu i tak Anteusz zginął uduszony...

SZTUKA O TŁUMIE. Kiedy pierwszy lepszy matołek uważa się za „indywidualistę“ i „pogardza“ tłumem, składa jeszcze jeden dowód, że należy do motłochu, wśród którego „indywidualizm“ najniższego gatunku pleni się tak bujnie. Trzeba mieć dobrze wypracowane racje estetyczne i duchowe, które usprawiedliwiają poczucie wyższości nad tłumem. Dopiero wówczas mamy do czynienia z myślą głębszą, taką, jaką reprezentują w swoim stosunku do tłumu wszyscy wielcy pisarze starożytnego świata; jaką wielokrotnie wypowiadał Leonardo da Vinci; jaką znajdujemy u Goethego lub u „potrąconego przez ciżbę“ Baudelaire'a. Dopiero z pewnych wyżyn myślowych płynąć może prawdziwa nauka o tłumie, nauka, nie zaś tylko urągliwe słowo. I ta oto nauka niosła po wszystkie czasy surowy sąd o właściwościach tłumu, który jak ktoś dobrze powiedział, nie zmienił się od czasów, kiedy Ateńczycy skazali Arystydesa Sprawiedliwego na wygnanie.

Do tej właśnie dziedziny wyższych i surowych sądów o motłochu należy sztuka Romain Rollanda „Danton“. Wśród całego cyklu utworów dramatycznych z dziejów Wielkiej Rewolucji — jedyna sztuka nawskroś antyrewolucyjna. Unosi się nad nią duch krwawej ironji i aż nadto zjadliwego szyderstwa, które nawet osłabiło widoczną chwilami troskę o objektywizm. Tłum w tej sztuce gra swoją nieśmiertelną rolę zbiorowej bezmyślności i krwiożerczej bestji, pobudzanej przez niezawodną retorykę. Rewolucja w „Dantonie“ jest obrazem wzajemnego pożerania się wodzów i nieobliczalnych odruchów półobłąkanej hołoty, jest demonstracją paradoksu, który głosi ustami — Robespierre'a, że „wolności nie zdobywa się przez wolność“. Krwawy chaos pochłania wszystkie ofiary ludzkiego sentymentu i rewolucyjnego mistycyzmu (Kamil Desmoulins), nie mówiąc już o ofiarach niezachwianego honoru (Varenne). A tłum, nadzieja rewolucji? Tłum chce ratować Dantona. Zawahał się i cofnął na widok Saint-Just'a, zwanego „Chrystusem rewolucji“ lecz całkowicie został rozbrojony i rozpędzony dopiero przez wiadomość o transportach mąki, które właśnie nadeszły do Paryża. Takim obrazem kończy się sztuka, zamknięta bladym aforyzmem Saint Just'a: „Idea nie potrzebuje ludzi. Narody umierają, by mógł żyć Bóg“.

I o takim utworze mógł ktoś w jednym z dzienników warszawskich napisać: „Jeszcze dziesięć takich sztuk, a będziemy mieli rewolucję“!

Przypomnijmy, że sympatje wielkiego pisarza dla rewolucji bolszewickiej trwały bardzo krótko. Już parę lat temu, w liście otwartym do komunistycznego

pisarza, Henryka Barbusse'a, potępiając terror bolszewicki, wypowiedział Romain Rolland tę samą myśl, jaka przeziera wyraźnie przez wszystkie sceny „Dantona“. W liście tym czytamy:

„Nieprawdą jest, że cel uświęca środki, albowiem środki dla postępu ludzkości, mają donioślejsze znaczenie, niż cel. Cel (rzadko i niedoskonale osiągany) zmienia tylko stosunki zewnętrzne między ludźmi, środki zaś, przeciwnie, kształtują rozum ludzki i kierują człowieka na drogę sprawiedliwości, lub na drogę gwałtu. A jeżeli tak jest, to żaden rząd, opierający się na gwałcie, nie będzie w stanie zapobiec uciskowi słabych.“

NIEBEZPIECZEŃSTWO FAŁSZYWEJ LEGENDY. Rozczarowanie, jakie sprawił publiczności warszawskiej teatr p. Jewreinowa, bardzo jest pouczające. Przedstawienie „Krzywego Zwierciadła“ poprzedziła nietylko płatna reklama, lecz i bezinteresowna ze strony niektórych piór apoteoza osoby autora „Tego, co najważniejsze“. Czytało się o nim rzeczy niezwykle gorące. Reformator teatru i życia (!), misjonarz, apostoł, niemal twórca jakiejś nowej religji! Ludzie, którzy szanują znaczenie pewnych poważnych wyrazów, dziwili się, jak to można w taki sposób pisać. Wokół osoby p. Jewreinowa zaczęła się tworzyć jakowaś legenda. Wielki, znakomity, genjalny siewca nowych idei! Jakich? Od dłuższego czasu powtarzano sobie dwa wyrazy: teatralizacja życia. Oto hasło Jewreinowa. Oto jego teza „filozoficzna“ i wyznanie estetycznej wiary.

Czytałem książkę p. Eugenjusza Świerczewskiego,

w której wiernie wyłożył „filozofję“ p. Jewreinowa, choć z nadmiernym entuzjazmem dla rzeczy gruntownie niemądrych. Powiedziałem sobie wówczas, że można bardzo kochać teatr, ale nie koniecznie trzeba robić „filozofję“ z... bujdy. Przepraszam za to określenie. P. Jewreinow jest bardzo utalentowanym pisarzem teatralnym, ale zaliczanie go do wielkich myślicieli, do reformatorów życia, bogacących ducha epoki, tworzących nowe wartości moralne współczesnego świata i t. p. — to już tylko humorystyka. A że i sam p. Jewreinow jest bardzo przesadny w mniemaniu o swej „misji“ apostolskiej, o tem świadczy rozmowa z nim p. Świerczewskiego, ogłoszona w „Wiadomościach Literackich“. Czytamy tam, że lejtmotywem mającego się ukazać nowego dzieła p. Jewreinowa będzie „teatr, jako wszechprzenikający element życia i wyjaśnienie ducha teatralności, przenikającego całą przyrodę, poczynając od maskarady roślinnej, aż do najwyższych form kultury; Jewreinow podkreśla tu wyzyskanie tej roli teatru — dla życia“. Nie będziemy się znęcali nad tą deklaracją. A oto słowa samego p. Jewreinowa:

„Imię Boga mego! Teatrarch! Jako człowiek religijny, wierzę, że człowiek w życiu przechodzi miljony ról jako oczyszczenie. Stąd całe życie człowieka przechodzi pod maską. Życie numenów (rzeczy w sobie) występuje zawsze w masce fenomenów. Człowiek jest nawarstwieniem masek na rdzeniu naszej pamięci“.

Owszem, dowcipne. Ale nie „filozofja“, nie „światopogląd, nie dotarcie do głównego rdzenia człowieka (!). Nie trzeba nadużywać słów i pojęć. Niech ludzie to

przynajmniej wiedzą, że są pewne zagadnienia bardzo, a bardzo poważne, o których nie każdy mówić może.

Żeby nie było nieporozumienia, p. Świerczewski wyjaśnia nam, jak to ów pisarz „z patetycznością apostoła“ (!) „teatralizował stale własne życie“. No jak? Po ukończeniu szkoły „Prawowiedow“, był parę lat na służbie państwowej, potem występował jako clown i ekwilibrysta na drucie („w poszukiwaniu głównego rdzenia człowieka“), potem grywał na siedmiu instrumentach (służąc tak „Bogu-Teatrarchowi“, jako „człowiek religijny“), potem studjował „filozofję i Biblję“ i t. d. Wreszcie przyjechał do Warszawy i pokazał swój nieciekawy teatrzyk. Zawód. Zdumienie. Rozczarowanie.

Nauka: fałszywe legendy są zawsze niebezpieczne.

NA WIELKIM PANCERNIKU KŁAMSTWA. Na myślowym pancerniku... Więc na takim, który płynie wiecznie i zatacza swoje błędne koła, szukając — jak w chińskiej, prastarej legendzie — złotych wysp, gdzie dobroczynne, nieśmiertelne duchy rozdają eliksir szczęścia na ziemi, gdzie żyje utopja, harmonja, ideał, gdzie jest wyzwolenie: człowiek wolny, człowiek doskonały.

Że tam gdzieś pancernik realny nazywał się „Kniaź Patiomkin“ i wiózł zbuntowanych marynarzy, że jakiś lejtenant Szmidt podniósł rękę zuchwałą na cara, że wszystko skończyło się narazie katastrofą, która jednak była pierwszą zapowiedzią rewolucyjnego piekła na szóstej części globu ziemskiego, — wszystko to

jest tylko szczegółem na wstędze dziejów, zaznaczonym krwawą plamą, jakich było bez liku...

Nie chodzi o historję. Niech ją sobie spisuje kronikarz. Niech ją sobie fałszuje polityk. Niech upiększa poeta. Chodzi o to, co w miljonach szczegółów, co w przemijających burzach i kataklizmach, co we wszystkich farsach i tragedjach, radościach i cierpieniach, co we wszelkich zmaganiach się Ormuzda z Arymanem, w tajemnicach i światłościach życia, co w dni i noce dziejowe jest najwyższą tęsknotą ducha spętanego kajdanami, ukutemi przez bogów i ludzi. Chodzi o westchnienie twórcze, o modlitwę wyzwoleńczą, o zwycięski uśmiech, o przymierze, całkowite przymierze ze słońcem, które wszystko przenika, nie omijając żadnego śmietnika ludzkiego.

Okręt człowieczy płynie od praczasów, płynie dzięki pracy palaczów, którzy spędzają życie pod pokładem, a tęsknią do nieskończoności. Płynie wśród odwiecznej walki niewolników i panów grających swoją, przez Lucyfera wyznaczoną rolę — we wzajemnym, ustawicznym strachu, przy pomocy wielkich systematów kłamstwa, fikcji, sugestji, podstępków i oszustw — i przy pomocy rozmaitych fantasmagorji i marzeń, które są zapewne po to, żeby Prometeusze nie przestali cierpieć.

W epilogu potężnego dramatu „Kniaź Patiomkin“, Tadeusz Miciński napisał:

„Społeczeństwo dzieli się już na dwa typy: filistrów i zatraceńców. Istotnego rewolucjonizmu, tworzącego przyszły ustrój moralny i państwowy — jak mało jest! Również jak mało jest obywateli, utrzymujących wielkie zasady życia narodowego! Niena-

wiść mą objawiam w tym dramacie względem monstrualnego zlepieńca, idącego zwartą falangą tych wszystkich, których filozofję stanowi 6 zł i 20 gr (rubel). Wylegujący się gnuśnie w swych miękkich łożach z nałożnicą (o jak to jest obojętne, jakiem społecznem mianem ona się mianuje!) zaciągają długi na zdrowiu, inteligencji, instynkcie przyszłych pokoleń! Grynderstwo, jako czyn obywatelski; szmata, jako poemat i powieść, artykuł i wydawnictwo; zaściankowy kurnik, jako pogląd na życie, naród i jego przyszłość; nadęta próżność rozsądnego psychopaty i daltonisty w ocenianiu zjawisk prometeicznych Ducha; zawsze pełne zagarnianie rękoma ku sobie, choćby się zachlipywało od przekarmienia; nędzny uśmieszek złodziejskiego fauna, który podgląda, jakby się dobrać do swego „joie de vivre“, tworzącego w rezultacie nową, lecz zato gruntownie marną istotkę w odwiecznej europejskiej kałuży; są to legalni oficerowie na wielkim pancerniku kłamstwa...“

A marynarze? To ci, którzy po przez bunt wpadają w „zwiększoną niewolę“.

Tak samo pisał w „Mojem sercu obnażonem“ Karol Baudelaire. I dodał: „Zaznaczam mój gniew“.

„Kniaź Patiomkin“ Tadeusza Micińskiego jest zaznaczeniem gniewu. Gniewu wielkiego, myślącego serca.

POTRZEBA WZRUSZEŃ I GROZA NA SCENIE. Kiedy w Orestei wbiegały na scenę gromady Eumenid, wśród publiczności powstawał straszny popłoch, dzieci mdlały ze strachu, kobiety roniły, zbrodniarze przyznawali się do przestępstw.

Po wystawieniu dramatu Frynikosa „Zburzenie Miletu“ wzruszenie słuchaczów było tak wstrząsające, że nazajutrz skazano poetę na grzywnę i wystawienia dramatu zakazano.

Tak to w zamierzchłej już przeszłości działał na publiczność teatr. Grał rolę olbrzymią, zastanawiał, wzruszał, bawił, uczył i przerażał. Władał duszą widowni, panował nad myślą i uczuciem zgromadzonego tłumu widzów. Jeżeli zaś chodzi o wielki efekt grozy, osiągał to w stopniu naszej epoce nieznanym.

Na dwóch scenkach warszawskich, na jednej aktorzy polscy, na drugiej francuscy działali nastrojami grozy, jak można największej, która jednak publiczności nie przeraża. Z przedstawień zarówno „Szkarłatnej Maski“, jak i trupy „Grand Guignol'u“, ludzie wychodzili spokojni, krokiem pewnym, normalnie sobie rozmawiając. Sceny, w których zazdrosny mąż zaszczepia kochankowi swej żony wściekliznę, lub kiedy znów inny mąż, oślepły wskutek oblania go witrjolejem przez żonę, nad nią tej samej dokonywa operacji, sceny takie sprawiają widzowi uczucie chwilowej przykrości, lecz nie wyprowadzają go z równowagi nerwowej. Tylko pospólstwo może się głęboko wzruszać na tego rodzaju spektaklach, łatwo bowiem poddaje się efektom jaskrawym i brutalnym. Człowiek kulturalny może tu w najlepszym wypadku znaleźć coś interesującego nie w treści rzeczy, ale w oryginalnych pomysłach autorów oraz w dobrej grze aktorskiej.

Głód wzruszeń najsilniejszych, wyjątkowych jest wśród tych sfer duży, ale wzruszeń nie tego rodzaju.

Potężny dramat o głębszej treści myślowej (bez wycia chorych na wściekliznę psów i bez wypalania oczów witrjolejem) stokroć większe wywiera na ludzi inteligentnych wrażenie. Natomiast wśród t. zw. szerokiej publiczności cieszą się powodzeniem owe rzeczy „straszne“ i „niesamowite“, darzące ją dreszczem i dreszczykiem. Nic przytem takie uczucia nie mają wspólnego z przeżyciami tłumu, kióry wypełniał widownię starożytnego teatru.

O potrzebie owych dreszczyków, bynajmniej nie nowej, pisała już zgórą sto lat temu powieściopisarka polska, Mostowska. W powieści swojej p. t. „Strach w zameczku“, wydanej w roku 1806-tym pisze, że dawne utwory przestały się już podobać czytelnikom, bowiem „wyczerpane nasze uczucia gwałtowniejszych potrzebują wzruszeń“. I tak to wyjaśnia: „Okropne widma, burze, trzęsienia ziemi, rozwaliny starożytnych zamków przez same duchy zamieszkałych, zbójców kupy, uzbrojeni puginałami i trucizną zdrajcy, mordy, więzienia, nakoniec djabły i czarownice, gdy to się wszystko znajdzie razem, wtenczas mamy romans w kształcie upodobanym wiekowi naszemu“.

I naszemu — powiedzieć możemy, lecz mając na myśli jedynie t. zw. „szeroką publiczność“, czyli pospólstwo mniej lub więcej zamożne.

NIE TAK STOI DRAMATYCZNA SPRAWA. Pana Mikołaja Jewreinowa skrzywdzono bardzo złośliwą insynuacją. W niektórych recenzjach z jego sztuki „Okręt sprawiedliwych“ napisano, że autor pod przykrywką mętnej symboliki przemyca jakieś polityczne cele, a nawet zdradza rzekomo sympatje dla bolszewizmu. Jak już zaznaczył słusznie p. kolega Zawistowski, w sztuce tej żadnej akceptacji bolszewizmu niema. Symbolice utworu można przypisać jakie kto chce aluzje, a jej zagadnienia nie są związane z żadną konkretną kwestją, zamkniętą w określonej ramie czasu i przestrzeni. Słowa o prawdzie, sprawiedliwości, o złem i dobrem, o instynktach człowieka i t. p., dają się zastosować do miljona spraw ludzkich. Są to pytania wieczyste, ilustrowane rozmaicie, w sposób płytszy albo głębszy. Jeśli nawet w powrocie mieszkańców okrętu na ląd dopatrywać się aluzji do emigracji rosyjskiej, nie można stąd wywnioskować, jakoby autor zalecał dzisiejszą formę rządów w Rosji, lecz, że wzywa emigrantów, by wrócili do swojej ojczyzny, bez względu na to, co się w niej obecnie dzieje, by wrócili do życia, do rzeczywistości. Ale i tej tendencji w sztuce nie znalazłem.

Cała „ideowość“ utworu p. Jewreinowa obraca się w sferze odwiecznych zakłopotań, podanych tu w dość zabawnych, dziecinnych niekiedy słowach i obrazach, jak cała zresztą „filozofja“ autora. Naiwność, z jaką p. Jewreinow przystępuje do problematów zbiorowego życia, jest wprost ujmująco zniewalająca, a całe szczęście, że ma talent, który pozwala na jego widowiska patrzeć z przyjemnością, zwłaszcza, jeżeli sztuka wystawiona jest tak doskonale, jak w Teatrze Polskim.

Nie aluzje polityczne, ale co innego razi tu i pomniejsza przyjemność nierosyjskiego widza. Niektóre

tezy i wyobrażenia p. Jewreinowa są specyficznie i potwornie rosyjskie.

Marzycielom, uduchowionym poetom, idealistom przeciwstawiony jest „człowiek życia“ zwany Witalisem. Pierwsi to naturalnie chore cherlaki, zaś ich wróg — to doskonałe bydlę w ciele ludzkiem. Tak właśnie od bardzo dawna stoi sprawa w literaturze rosyjskiej. W tak uproszczonej formie wykłada się tam pojęcie idealizmu i „radości życia“. Witalis Jewreinowa jest nowem wydaniem Sanina, który również śmiał się z idealistycznych mrzonek, również sławił uroki muskułów i również olśniewał swoim chamstwem nerwowe idjotki. Od czasu powieści Arcybaszewa „saninizm“ stał się bardzo popularnym w beletrystyce rosyjskiej i wywołał całą jakby szkołę, całą czeredę pokrewnych bohaterów. Rozmnożył się w literaturze rosyjskiej typ „griaduszczawo chama“, który tak przerażał znakomitego Mereżkowskiego. A do literatury przeszedł z realnego życia, obfitującego w takie typy, o czem wymownie świadczy dzisiejsza rzeczywistość rosyjska. Ze wszystkich utworów Jacka Londona największem powodzeniem cieszył się w Rosji „Wilk Morski“, bo i tam w postaci Wolfa Larsena znaleziono wszystkie racje zdrowej pięści, przeciwstawione marzeniom i tęsknotom różnych form taniego hamletyzmu.

Europejczyk musi zapytać, czemu to „idealista“ ma być koniecznie niedołęgą fizycznym, a „piewca życia“ nieodzownie brutalem? Czy ta jest między nimi istotna różnica? Z jednej strony warjat, z drugiej — cham? Albo: z jednej strony Hamlet zakłopotany pytaniem: „Być, czy nie być?“, z drugiej pijak i gwałciciel kobiet wołający: „Było nie było!“ W sztuce p. Jewreinowa występuje tego właśnie typu „młodzieniec“ i tego typu „żyznieradostnyj czełowiek“. Taki konflikt nie jest zbyt głęboki, nie jest też żadnem „zagadnieniem“ ducha i materji. Nie tak stoi dramatyczna sprawa, jak nam mówią niektórzy pisarze rosyjscy. Duch może być zdrowszy, a materja mniej chamska i pijana, niż im się wydaje.

NIEPOROZUMIENIE. O jakże daleko odbiegliśmy od tych czasów, kiedy Henryk Sienkiewicz rzucił klątwę na twórczość Stanisława Przybyszewskiego, widząc w niej tylko „ruję i poróbstwo“, czem tak wzburzył ówczesną „młodą Polskę“ i dał znak do walki t. zw. dwóch światów, z których jeden uważał Przybyszewskiego za wcielenie szatana, rozdawcę trucizny moralnej, deprawatora dusz młodzieży, drugi — za mistrza, apostoła, dobrego zwiastuna wielkiej rewolucji w sztuce! Każdy nowy utwór Przybyszewskiego był podnietą do dalszej walki, tak nieraz namiętnej.

Czemu dziś „Mściciel“ nie daje powodu do jakiegokolwiek sporu? Czy któraś ze stron odniosła tak wielkie zwycięstwo, że nowy dramat Przybyszewskiego nie budzi nawet ochoty do dyskusji?

Zważmy, że dwie tu toczyły się sprawy: walka o nową formę i walka o treść rzeczy. Prawo nowej formy zwyciężyło. Dziś obydwie strony schylają czoła przed mistrzostwem słowa i zgodnie zalecają to źródło wzruszeń estetycznych. Lecz zachwyceni

pięknem prozy poetyckiej, wszyscy — i „starzy“ i „młodzi“ — słuchamy obojętnie treści nowego utworu. Nie spieramy się o to, jakie racje czy nieracje niesie nam ten znakomity pisarz. Proszę sobie dziś wyobrazić namiętne rozstrząsania na temat psychologji Izy lub znaczenia symboliki „Mściciela“! Już są niemożliwe.

Czy dlatego niemożliwe, żeśmy od tej kategorji „zagadnień“ oddalili się przez t. zw. pozytywizm, przez zmaterjalizowanie, przez cynizm?

O bynajmniej! Wielkie to nieporozumienie.

Nieporównanie dotkliwszy cios zadał owym „zagadnieniom“ właśnie nowy mistycyzm epoki, który wzniósł się znacznie wyżej, niż mogą wznieść się duszyczki bohaterów „Mściciela“. Myśli Zbigniewa? Jego rozterki duchowe? Małe, bzdurne, w bełkot filozoficzny przystrojone. Dokąd poszedł Zbigniew? Do klasztoru? Na pustynię? Może do Indji po naukę yogów? Jest nam absolutnie wszystko jedno. Wiedza tajemna Snarskiego? Wybieg okultystyczny, łudzący się zbliżeniem do Tajemnicy. Tragedja Izy? Oddała się przez zemstę, czy przez głód niezaspokojonych zmysłów? Jej histerja i jej niepokój erotyczny nie domagają się tonów Ejschylosa.

Oto tragikomiczny paradoks: trzej „symboliczni“ hultaje, trzej paskarze z aktu II-go, śmieją się z postaci najistotniej śmiesznych...

Zagadnienie winy i kary? Rozwiązane w XX-ym stuleciu w stylu starogreckim, nie zachęca do głębszej zadumy, bowiem sprawa etyczna rodzaju ludzkiego ukazuje się nam w treści o wiele bogatszej i o wiele groźniejszej, niż w szemacie fatalizmu.

Stary świat i nowy świat? Co je różni? Najmniej, jaknajmniej ta właśnie dziedzina, której najwięcej uwagi poświęca znakomity pisarz. Nie na tym terenie odbywa się prawdziwy „danse macabre“. Z pośród tysiąca pytań, jakie wysuwa życie dzisiejsze, może gdzieś na jednem z miejsc ostatnich stoi pytanie, stanowiące treść konfliktu pomiędzy przedstawicielem „starego świata“, Jerzym, który odtrącił gotowość miłosną Izy i wolał czekać na ślub, a reprezentantem „świata nowego“, Orzelskim, który ją uwiódł.

Nie te sprawy stanowią istotę dziejowego przełomu, którego w całej pełni zdaje się nie dostrzegać ten zawsze nieporównany „Jeremjasz zdegenerowanych instynktów“, jak nazwał Przybyszewskiego Ryszard Dehmel, a które to określenie sam Przybyszewski uznał w „Moich współczesnych“ za najbardziej trafne.

Z POWODU „WIEŻY BABEL“. Czy Antoni Słonimski, pisząc „Wieżę Babel“ trzymał się praw, uważanych za obowiązujące, czy też — przeciwnie — zgrzeszył przeciw kanonom sztuki teatralnej, czy akcję tej rzeczy prowadzi za wolno czy za szybko, jaką daje kanwę dla pracy reżysera, jaką okazję popisom aktorskim, a jaką dekoratorowi, niech to rozstrzygają sprawozdawcy.

Jeśli tu wtrącam i moje trzy grosze, to dlatego, że czasem dzieje się w teatrze coś, co nie jest sprawą tylko teatralną. Gdyby teatr miał dziś choć w przybliżeniu to znaczenie, jakie miał dawniej, nigdybyśmy nie pisali: oto sprawa tylko teatralna, a oto — również społeczna. Lecz właśnie stał się teatr współ-

czesny przeważnie albo zabawą dramatyczną, albo czemś w rodzaju cyrku, fabryką pseudo-tragicznych nastrojów, albo — częściej — narzędziem do łechtania publiczności, spragnionej bezmyślnego śmiechu, w każdym razie czemś takiem, co sobie żyje zdala od wielkich spraw zbiorowego życia, bez żadnego wpływu na czasy i ludzi, bez idei i głębszej ambicji. Jakaś wyspa neutralna w latach dziejowego przełomu, obojętna na wszystkie przemiany, jakie się dzieją w świecie ludzkim, obca radościom i cierpieniom epoki, nie biorąca udziału w twórczym mozole, z jakim buduje się przyszłość. Mogłoby jej nie być, a społeczeństwo szłoby dalej swojemi drogami, nie odczuwając jej braku, bowiem potrzebę rozrywki zastąpiłoby w sto innych sposobów. Coś się w państwie teatralnem zadawniło, skostniało, skamieniało.

Jeżeli tedy na scenie teatralnej odezwały się słowa, niesione przez wzburzone fale czasów, jeżeli w tych słowach słychać odgłosy nowego rozdziału tragedji dziejowej, echa ideowych trosk i zakłopotań naszych dni, niespokojnych poszukiwań, śmiałych i najśmielszych zamiarów, szalonych ambicji współczesnego człowieka, to — przepraszam — sprawa jest nieco większa, niż te, jakie zazwyczaj mieszczą się w recenzjach teatralnych, bardzo nawet fachowych.

Jasna, przejrzysta symbolika „Wieży Babel“ zbliża teatr do rzeczywistości społecznej, daje wyraz tęsknotom, jakie przesycają atmosferę ideową powojennego świata, sięga w sferę tego patosu etycznego, który ratuje szlachetność pokolenia, wprowadza na deski sceniczne Don Kiszota 20-go wieku, w nowej szacie, w nowym stylu, lecz w istocie tego samego,

wiecznego rewolucjonistę i marzyciela, opanowanego — jak w „Wieży Babel“ mówi Colins — „niezmierzoną ambicją twórczego obłędu“.

Pewien zasób tej właśnie ambicji, odwiecznej, nieśmiertelnej, przekazywanej z pokolenia w pokolenie, odzywał się echem w literaturze scenicznej wszystkich czasów, odezwał się tym razem na scenie polskiej w pięknym poemacie dramatycznym, nawskroś dzisiejszym, współczesnym, zarówno w swych efektach zewnętrznych, jak i w swej treści, tak bardzo żywotnej. Jest to wydarzenie niezwyczajnej miary.

SYLWETKI

KAZIMIERZ MORAWSKI. Zgasła prawdziwa wielkość: wielkość w pracy, w głębokości i rozległości twórczej myśli, w rozumieniu dziejów rodzaju ludzkiego, a nadto w miłości dla piękna i prawdy.

Pośród pracowników Krakowskiej Akademji Umiejętności, którzy jako servi servorum Dei et scientae brali najwybitniejszy udział w życiu tej świetnej instytucji, w rzędzie ludzi tak zasłużonych, jak Józef Szujski, Stanisław Tarnowski, Stanisław Smolka, Bolesław Ulanowski, ś. p. Kazimierz Morawski zajął miejsce najpierwsze.

„Stoimy przy warsztacie z podniesioną głową, z wolą stanowczą postępu, a bierzemy za godło słowa Nehemjasza w starym Zakonie: magnum opus facio, non possum descendere — spełniam wielkie dzieło, nie mogę zstąpić na dół.“ — Tak mówił niezapomniany prezes Akademji, Kazimierz Morawski, z okazji pięćdziesięciolecia tego przybytku nauki.

„Nie mogę zstąpić na dół“... bo pracując na wyżynach, niosę nizinom najwspanialsze dary. Bo niziny dobrze stamtąd widzę.

Był jednym z tych niewielu, którzy mogą powiedzieć tak, jak mówił Zaratustra: „Cóż mi po szczęściu! Dzieła mego baczę!“

W dziele swoim rozkochany, pełen najwyższego dla nauki entuzjazmu, a zarazem spokojny, najszlachetniejszy myśliciel, wybierał z księgi dziejów te

stronice, które, jak sądził, trzeba ludzkości przypomnieć. Opowiadał dzieje, nie jak kronikarz, lecz jak wielki nauczyciel. W najdalszej przeszłości szukał jasnych wskazówek dla czasów obecnych i przyszłych.

„Pójdź do mnie, siędziem na grobach narodów,
Będziem dumać, śpiewać i łzy ronić“.

Tak śpiewa Wajdelota w „Wallenrodzie“. I on też odbywał wędrówkę wśród grobów państw i narodów i dumał, śpiewał, łzy ronił, jakoteż uśmiechał się uśmiechem łagodnego mędrca.

Z każdej epoki wysnuwał sąd i naukę, mocną dłonią przewracając „bałwany ukute w kuźni nowoczesnych historyków, a osłaniające zawojami swego płaszcza wszystkie grzechy i zbrodnie tych, którzy deptali prawa ludzkie i Boskie“. („Rzym i narody“).

CREDO SPOŁECZNE STEFANA ŻEROMSKIEGO. Tajemnica śmierci staje się dla nas jeszcze większa i groźniejsza, kiedy umiera człowiek twórczy, kiedy nagle wysycha jedno z najgłębszych źródeł piękna i mądrości. Stefan Żeromski niemal do ostatnich dni swoich był twórcą o żywotności bezprzykładnej.

Ukazał niedole i radości wszystkich sfer społecznych, niepokojące problematy epoki, jej troski, dążenia, ideały, zarówno też wszystko jej potworne zło; zajmował się sprawami bieżącego dnia, sprawami chłopa, pana, robotnika, fabrykanta, mieszczucha, inteligenta, artysty; zebrał w olbrzymiej swej pamięci najwymowniejsze dokumenty współczesnego życia, wszystkie skargi, westchnienia, klątwy i błogosławieństwa. Chciał ujrzeć i przeniknąć wszystko:

co dzieje się na widowni publicznej, a co niewidocznie, co na wielkich gościńcach, a co na małych dróżkach i maleńkich ścieżkach. Docierał do zaułków, do zakamarków, wszędzie.

Czegóż szukał z takim niepokojem?

Od Judymów i od Olbromskich, poprzez wszystkie „dzieje grzechów“ i wszystkie „sny o szpadzie“ aż do Rudomskich i Gajowców, od westchnień „ludzi bezdomnych“ do wielkiej nowiny o „wietrze od morza“ — na całej drodze twórczości Żeromskiego działa nieustannie, a nawet z natężeniem coraz większem idea Naprawy, przemiany, budowania nowego życia narodu. Przed zdobyciem niepodległości mogła się idea ta wyrażać przedewszystkiem w marzeniu o własnem państwie, we wspomnieniach o minionem bohaterstwie, o którem pamiętają „wierne rzeki“ polskie i o którem mówią „echa leśne“, we wizjach walgierzowych i hetmańskich dumach. Lecz na pamięć przychodzą nietylko rzeczy i czyny pełne chwały, ale również złe, okropne. Jeśli pierwsze budzą otuchę i nadzieję, drugie są groźnem ostrzeżeniem. Jedne i drugie dawały Stefanowi Żeromskiemu dobry powód, by mówić o lepszej przyszłości, zawsze o przyszłości.

Na wielu kartach jego utworów i prac publicystycznych powtarza się stale pewien naczelny postulat, credo i drogowskaz: jakakolwiek będzie przyszłość społeczeństwa i cokolwiek zmieni się w ludziach, prawach i ustrojach, opoką zbiorowego życia jest i będzie twórcza praca. Przeto w Polsce odrodzonej trzeba ustawić takiej pracy mnogie warsztaty, a Polaka uczynić robotnikiem, miłującym swoją rolę na

wielkiem społecznem pracowisku. Marzenie Cyprjana Norwida o warsztatach twórczej pracy polskiej jeszcze potężniej przemawiało w pismach Stefana Żeromskiego. Zastanawiając się nad różnemi formami władzy człowieka nad człowiekiem, jedynie jej usprawiedliwienie znajduje w prawach organizacji pracy i w prawach intelektu, tą organizacją rządzącego. Któż są ci, którzy mają moralne prawo rządzenia i rozkazywania? Komu wolno zadawać przymus człowiekowi dla pożytku ludzi? Komu należy się posłuch wszelkiego pozbawiony szemrania? „Kiedy — pisze Stefan Żeromski — wybucha epidemja szkarlatyny, plamistego tyfusu, ospy, cholery, dżumy, wówczas rządy nad ludźmi obejmuje lekarz. Dyktuje nieodwołalnie prawa, nakazuje i zakazuje. Kiedy ludzie postanawiają przebić tunel pod łańcuchem gór, ażeby w szybkim pociągu przebywać w kilkanaście minut do tego miejsca na drugiej stronie łańcucha, dokąd dawniej trzeba było w najcięższym trudzie w ciągu paru dni wędrować, wówczas inżynier obejmuje władzę nad rzeszami pracowników. Geolog rozłupujący młotkiem kamienie, które potrącała obręcz nędznego wozu kmiecia, albo chodaki robotnika, odkrywa w nich niespodzianie tajemnicę i oto wydaje wskazówki miljonerom, tropiącym skarby i tłumom idącym za skibą nędznego chleba. Oficer trzymający rękę na motorze olbrzymiego pancernika jest samowładcą tysiąca istnień ludzkich, które zależą od dobrego lub złego ruchu jego dłoni. Marja Curie-Skłodowska, wywodząca na tablicy z równań matematyki wyższej krzywą linję, a potwierdzająca tę samą linję zapomocą fizycznego działania na świetliste ruchome radjum

w szklanej cewce rozmaitemi potęgami siły elektrycznej, rządzi umysłami słuchaczów, na zasadzie posiadania odkrywczej swej wiedzy, bardziej wszechwładnie, niż monarcha i bardziej nieodwołalnie, niż arcykapłan. Uczeni, technicy, inżynierowie, chemicy, fizycy, lekarze, znawcy, specjaliści, działający jako odkrywcy, albo na podstawie wdrożenia nieomylnych wyników praw znalezionych, sprawują rządy wciąż i wszędzie“.

Oto prawa władzy — najwyższe, istotne. Oto instancja rozkazodawcza. Oto przymus usprawiedliwiony. Praca z wyzysku wyzwolona i tej władzy intelektu poddana, stworzy nową moralność społeczną: „Moralność, wytwarzająca się na pniu pracy i w jej granicach, będzie antytezą dzisiejszej i nie do pojęcia przez ludzi starego świata“.

Nową podstawę organizacji świata pracy widział Stefan Żeromski w postulatach syndykalistycznych. Uważał je za „najbardziej nowoczesną, najskrajniejszą i najprostszą metodę organizowania życia publicznego“. Studjował literaturę tego ruchu, a głośne dzieło Jerzego Sorela „Reflexions sur la violence“ uważał za genjalne. Hasła syndykalizmu pociągały go i tem, że zrzeszonych ludzi pracy mogą oddalić od walk partyjnych i parlamentarnych. Idąc za myślą Sorela sądził, że związki, oparte wyłącznie o interesy pracy i wytwórczości, związki zataczające coraz szersze kręgi, siłą rzeczy przeinaczą ustrój socjalny. Stąd przyjdzie „zburzenie świata łotrostwa i wyzysku ludzi przez ludzi“. Proletarjat zjednoczony w związkach zawodowych, niepartyjnych, „weźmie na siebie rolę wielkiego promotora, rolę wodza i twórcy historji“.

Potęga jego niezwalczona będzie polegała na „zorganizowaniu mechanizmu produkcji wszystkiego, czem ludzkość żyje“ i oto z tego świata zorganizowanej pracy narodzi się nowa moralność. Moralność wytwórców. „Zasadniczą jej cechą — czytamy w „Początku świata pracy“ — będzie dążenie do ocalenia cywilizacji. Siła entuzjazmu i siła cnoty zrodzonej w pracy, wytworzą motor, który prowadzić będzie ludzkość po drodze postępu. Człowiek nowy pozostanie w warunkach życia skromnego. Wszystko składając na ołtarzu odkupienia i odrodzenia mas, nie będzie liczył na sławę w jej dzisiejszem rozumieniu, w pojęciu błyszczenia, zwracania roztargnionej uwagi tłumów i podobania się za wszelką cenę. Jego czyn będzie czynem wolnym i posiądzie sławę istotną wśród ludzi wolnych“.

Czy zwycięstwo takie osiągnąć można tylko poprzez rewolucję?

Stefan Żeromski przytacza św. Tomasza z Akwinu, który w dziele swem p. t. „Summa Theologiae“, w rozdziale o rewolucji (werset 42) aprobuje zasadę rewolucji pod jednym warunkiem, iż nie przyniesie ona szkody masom ciemiężonym. Wszelako rewolucja może być długotrwałym rozstrojem, anarchją, szałem i epidemją zbrodni, może zaprzeczyć swemu pierwotnemu celowi i pierwotnym hasłom. Taką właśnie była rewolucja bolszewicka, którą Stefan Żeromski potępił i przeklął, jako „błąd fatalny“, jako monstrualną dewastację i akt zemsty ze strony tych, którzy „stan i tytuł proletarjusza uważali za dostateczny motyw i zasadę przedzierzgnięcia nędzarza w pana, a natomiast stan i tytuł pana, bogacza, za

motyw i zasadę zepchnięcia człowieka w przepaść męki i głodu, w to właśnie miejsce, gdzie proletarjusz leżał do niedawna“. Dwie są drogi zmian idących i nieodwołalnych. Albo rewolucja, o której „nikt a nikt nic nie wie, dokąd ona zajdzie“, albo dobrowolna na rzecz ducha czasów ofiara, świadoma i szybka reforma, czyli „zabiegnięcie rewolucji drogi naprzełaj“.

Wystąpienia społeczne Stefana Żeromskiego w latach ostatnich płynęły zarówno z wielkiego cierpienia na widok niedoli i nędzy ludzkiej, jak i z trwogi najwyższej, że w Polsce może „lać się krew i rozpasać się chamstwo stratowanego, biednego człowieka“.

Idealizm społeczny Stefana Żeromskiego pozbawiony był tego optymizmu, który w imię swej wiary upiększa sobie rzeczywistość fikcją i złudzeniem. Żeromski patrzył na życie szeroko otwartemi oczyma. Możnaby raczej powiedzieć, że wyolbrzymiał zło, które go przerażało, niż przeciwnie. Rzeczy ujemne, rzeczy straszne w człowieku, w społeczeństwie i w państwie badał z prawdziwą pasją, „rozdrapując rany, żeby nie zarosły błoną podłości“. Uderzał często w ton tragiczny, w ton największej grozy. Pod tym względem, mimo ogromne różnice psychologiczne i narodowe, można go porównać z Dostojewskim. Nie to samo, ale podobne podpatrywanie satanicznych pierwiastków natury ludzkiej, podobne przenikanie świata wszelkiej potworności, aż do najbardziej utajonych jej zakamarków. Był jednak równie nieustraszony w patrzeniu na zło, jak wielki i wspaniały w swym entuzjazmie dla piękna człowieka i dla

piękna życia, a to znów, w porównaniu z Dostojewskim, stawiało go na przeciwległym biegunie.

Ani w powieściach, ani w pracach publicystycznych Stefana Żeromskiego nie było optymizmu w zwykłem znaczeniu tego wyrazu. Żeromski chciał dojrzeć wszystko zło współczesnego świata, zwłaszcza zło, dziejące się w Polsce. Poto, żeby zrozumieć, żeby wiedzieć, jak i jakiemi drogami ma się odbywać dzieło naprawy. I dlatego właśnie idealizm Stefana Żeromskiego, nie płynący z optymistycznej oceny rzeczywistości, lecz zdający sobie sprawę zarówno ze zła czasów, jak i z wielkiego trudu, jakiego będzie wymagała odmiana ku lepszemu, był idealizmem najwyższego gatunku: wytrzymał próbę cierpienia.

Stefan Żeromski był do głębi przejęty wielkością epoki, która niesie rodzajowi ludzkiemu zapowiedzi zmian i przeistoczeń nieznanych dziejom.

PAMIĘTNIK REYMONTA. Władysław Reymont swem wspaniałem piórem bardzo rzadko wykraczał poza ramy twórczości literackiej. Nie wypowiadał się jako publicysta, tak jak niejeden z naszych wielkich pisarzy. Żył światem swoich natchnień, mówił słowem twórczem, z życia człowieka i narodu czerpał pokarm dla swej wyobraźni. Mamy wszelako w jego dorobku pisarskim jedną rzecz publicystyczną, niemniej wymowną i nie słabsze światło rzucającą na postać autora, niż jego najpiękniejsze powieści i opowiadania. To pamiętnik p. t. „Z konstytucyjnych dni“ (wydania zbiorowego tom XX-ty p. t. „Na krawędzi“). Przemawia tu czułe serce dobrego człowieka,

sprawiedliwy sędzia i żarliwy obrońca krzywdy ludzkiej i krzywdy narodu.

Rok 1905-ty. Pamiętny rok. Ostatnie dni października i pierwsze dni listopada. Największe napięcie krwawej walki z caratem. Dni trwogi i nadzieji, dni przerażenia i wiary. Zapowiedź późniejszych wielkich zmian dziejowych. Władysław Reymont chodził wówczas całemi dniami po ulicach Warszawy. Patrzył i słuchał. Wyczekiwał wielkich rzeczy. Błogosławił walkę. Potępiał głosy sceptyków „żabie i skrzeczące“, gardził małodusznością i tchórzostwem. W pierwszym dniu strajku ogólnego napisał: „Mam wrażenie, że niby oślepli i spętani balansujemy na linie, rozpiętej nad przepaścią, chcemy przejść na tamtą jasną stronę. A wiadomo, że tylko szaleńcom udają się rzeczy niewykonalne. Więc oszalejmy — i niech stanie się dzień wytęskniony“. Poszedł na krańce miasta, na Dzielną, Smoczą, Żelazną, poszedł na przedmieścia — do ludu roboczego, do tych, którzy „wiodą walkę skutych i w najgłębszem milczeniu, smagani nędzą, mocują się z kajdanami“, a choć mają „łachmany na grzbietach“, są „królewsko hojni, bo gotowi ceną krwi i życia zapłacić za wspólną sprawę“.

Znalazł się w jakiejś suterynie. Spojrzał na obraz najstraszliwszej nędzy. Na barłogu siedziała matka z pięciorgiem dzieci.

— „Dzieci podniosły na mnie oczy, zrobiło się cicho, że dały się słyszeć krople wilgoci, padającej z sufitu.

— Zdychamy z głodu... i co to komu zaszkodzi?... Przecież dziura się w niebie nie zrobi — zaśmiała się strasznie.

Naraz porwała jedno z dzieci i wyłupując je z łachmanów, zaczęła trząść niem, niby workiem zetlałych kości, a krzyczeć:

— To człowiek, panie, co? To człowiek? Ażeby was cholera!

A potem, przed Europejskim spotkałem znajomego.

— Wiesz? — Już od tygodnia niema ostryg — skarżył się żałośnie.

Bodaj ci chleba zabrakło, jak tamtym".

Każda stronica tego pamiętnika jest dokumentem sprawiedliwej myśli i pięknego serca.

PRAWDZIWY NAUCZYCIEL. Bolesław Prus (dnia 19 maja 1927 r. minęła piętnasta rocznica jego śmierci) długo zastanawiał się nad tem, co to jest opinja publiczna. W zaraniu swej działalności pisarskiej był przekonany, że w opinji znajdzie ogromny kapitał mądrości, potęgę wielką najlepszych instynktów, dobre wyczucie błędu lub słuszności w każdej sprawie życia zbiorowego. I stąd wysnuwał wniosek, że trzeba tylko dobrze wniknąć w nastroje opinji, by z niej wydobyć najświetniejsze wartości. Dopiero po kilkunastu latach, po wielu doświadczeniach i rozczarowaniach napisał: „A cóż to jest opinja? Właśnie, kiedym myślał o tym przedmiocie, usłyszałem pianie kogutów. Zapiał jeden, potem drugi, potem dziesiąty i setny. Ale dlaczego? Oto pierwszy piał, bo zobaczył światło lampy i zdawało mu się, że już słońce wschodzi, a inni pieją za nim na słowo". Kiedyindziej znów powiada: „Jak w medycynie znane są choroby nerwów, tak w historji zdarzają się choroby rolnictwa, przemysłu, oświaty, opinji publicznej".

I jeszcze: „To, co dziś nazywa się „sądem opinji publicznej" nie jest naprawdę żadnym sądem, żadną skarbnicą mądrych reguł, ale najczęściej dziką zabawą tłumu".

Bolesław Prus szedł drogą niezależnego umysłu, a więc popadał w konflikt zarówno z obozami wstecznictwa, jak i obozami postępu. Pierwsze zarzucały mu nawet niemoralność, drugie atakowały go za odstępstwa od doktryn radykalnych. Tymczasem sam Prus uważał się jednocześnie za postępowca i konserwatystę, widząc w życiu społecznem wszystko, co zmienić należy, ale i to, co godzi się zachować.

Światopoglądu swego nie ujmował w ramki wygodnej i skostniałej formułki. Był utylitarystą, lecz — jak powiada p. Zygmunt Szweykowski w znakomitem studjum „Lalka" Bolesława Prusa — utylitaryzm w jego pojęciu zaczyna się łączyć samorzutnie z lotem mickiewiczowskiej „Ody do młodości". Pisał przecież: „Ludzkości równie potrzebne są poezje, jak żelazne belki". Był entuzjastą nauki, której — zgodnie z duchem ówczesnego pozytywizmu — przypisywał potęgę cudotwórczą, ale jednocześnie rozumiał, że „Szekspir tyle wart, co Kepler". W pismach Bolesława Prusa znajdujemy zderzenie trzech tendencji: pozytywizmu, naturalizmu i idealizmu, przyczem najczęściej zwycięża ten ostatni.

Co zaś najbardziej uderza i zachwyca w pracy publicystycznej Bolesława Prusa, to jego ogromna i nieustanna praca nad samym sobą. „Rozumie on — pisze p. Szweykowski — że tylko człowiek, który dużo wie, może pracować dla innych..." Pracuje usilnie i kształci się ciągle — tak będzie przez całe jego

życie. Stara się zawsze, aby poznawać najnowsze kierunki naukowe i dokładnie być obeznanym z przedmiotem, który porusza dla innych".

Coraz to rzadsze dziś usposobienie.

O WIELKOŚCI STASZICA. „Przekonałem się, że tylko miłość bliźnich, ziszczana przez dobre czyny, jest szczęściem dla ludzi, z nimi bowiem ma człowiek najmilsze związki przez wrodzoną mu ludzkość. Najprzyjemniejsze uczucia znajdują się w dobroczynności dla ludzi. Przeto tylko postępuje najlepiej do celu swojego — Stwórcy, kto przez ciąg swojego życia poprawi los, powiększy szczęśliwość drugich ludzi. Ten zaś, kto przez swoje czyny poprawi i udoskonali los współczesnych lub całych plemion następnych, ten dopełnia całkowicie swojego tu istnienia przeznaczenie, czyli te zamiary, jakie Najwyższe Jestestwo w jego stworzeniu założyło."

Tak pisał w swojej autobiografji Ks. Stanisław Staszic. Ten, który spełnił swoje przeznaczenie, jako człowiek wielki. Historja wystawia mu świadectwo wielkości dlatego, że z dzieła jego żywota, po wielu latach, w innej, już niepodobnej do jego czasów epoce, wciąż jeszcze bije światło myśli i uczucia, wciąż płynie nauka żywa, mądrości pełna i pokoleniom następnym potrzebna. Był wielki we wzniesieniu się ponad własne czasy. Nie cofał się przed żadnem politycznem, społecznem i obyczajowem tabu. Był płomiennym reformatorem i podważał tradycją uświęcone w „umysłach zastarzałych" pojęcia. Był apostołem postępu.

„Kto utrzymuje — pisał — że rządy, prawa, obyczaje są narodowością i przeto równie jak narodowość powinny być nietykalne, zawsze jedne, stałe i na wieki te same, ten utrzymuje tak wielki nierozsądek, jak ów Turczyn albo Tatar, co od swych przodków wzięty oręż za swą narodowość mając, tego, by narodowości nie utracił, opornie zmienić nie chce, a tak nierozmyślnie wychodzi z łukami i strzałami na teraźniejsze twierdze, armaty i kule, kartacze i bomby."

Jako siewca postępu, słusznie ojcem demokracji polskiej zwany, rozwalał twierdze przesądów stanowych, ukazując krzywdy stąd płynące. Nie cofał się przed oskarżeniem najbardziej dotkliwem. Nie dobierał słów łagodnych. „Powiem — wołał — kto mojej ojczyźnie szkodził: z samych panów zguba Polaków. Oni to zamienili Rzeczypospolitej obywateli w Rzeczypospolitą łupieżców, zdrajców, krzywoprzysięzców i jurgieltników." Staszic pierwszy z taką mocą bronił zasady równości obywatelskiej wszystkich klas społecznych. Wynikało to z jego poglądów religijnych i etycznych. W „Uwagach nad życiem Jana Zamoyskiego" pisze, że „człowiek względem drugiego ani samowładcą, ani niewolnikiem być nie powinien, gdyż jeden Bóg i towarzystwo (społeczeństwo) są względem człowieka samowładcami, a człowiek względem nich jest rzeczą nieskończenie małą." Z tego stanowiska rozpatruje wszystkie zagadnienia życia zbiorowego i rewiduje poglądy panujące. Jak odważna jest ta rewizja w ówczesnych warunkach, świadczą o tem uwagi Staszica o pojęciu własności, wypowiedziane w dziele „Przestrogi dla Polski". I prawo własności musi się również podporządkować prawu dobra powszechnego: „W każdem, czyli prawem, czyli gwałtownem towarzystwie dobro powszechne

jest dobrem najwyższem i wszelkie partykularne dobra i własności nie mogą zwiększać się, tylko dopokąd dobru powszechnemu nie szkodzą." Były to poglądy wręcz rewolucyjne. I jeżeli dziś pamięć Staszica czczą wszyscy, nie wyłączając tych, których każda reforma przeraża, to w tej czci przemawia sprawiedliwy dla wielkich reformatorów sąd historji.

Prawdziwy przyjaciel ludzkości, z troską największą i niekłamanym bólem myślał przedewszystkiem o niedoli mas ludowych, o człowieku ciężko pracującym i o krzywdach społecznego ustroju. W „poemacie dydaktycznym" „Ród ludzki" — pisze,

„Jak jedni zawsze dzierżą, z potomstwem dziedziczą,
„A drudzy zawsze cierpią, z potomstwem nędznieją".

Przerażał go stan włościjaństwa w Polsce. Obrazami nędzy i sponiewierania godności ludzkiej pragnął zaniepokoić sumienie całego narodu: „Widzę miljony stworzeń, z których jedne nawpół nago chodzą, drugie skórą albo ostrą siermięgą okryte, wszystkie wyschłe, znędzniałe, obrosłe, oczy głęboko w głowie zapadłe, dychawicznemi piersiami ciągle robią. Posępne, zadurzałe i głupie, mało czują i mało myślą, to ich największą szczęśliwością. Ledwie w nich dostrzec można duszę rozumną. Ich zwierzchnia postać z pierwszego wejrzenia więcej podobieństwa okazuje do zwierza, niżeli do człowieka... W tej smrodu i dymu ciemnicy dzienną pracą strudzony gospodarz na zgniłym spoczywa barłogu... Dobrzy Polacy! Oto rozkosz tej części ludzi, od której los waszej Rzeczypospolitej

zawisł. Oto człowiek, który was żywi." („Przestrogi dla Polski").

Gdzie ratunek? Ratunek w zrozumieniu, że trzeba powiększać dobro powszechne wszystkich warstw społecznych. A owo dobro rozumie Staszic w duchu odrodzeńczych idei końca XVIII i pierwszej ćwierci XIX stulecia, kontynuując pracę społecznych myślicieli tej epoki. Zaleca pracę wychowawczą, w której moc przeistaczającą wierzy tak, jak oni wierzyli. Dlatego sprawie wychowania tyle uwagi poświęcił, największy kładąc nacisk na kształcenie charakteru. Wychowanie nie da człowiekowi „władz genjalnych" i „najlepiej wychowany nie zawsze stanie się Newtonem, ale zawsze może być Tytusem albo Neronem". Pierwszem przykazaniem wychowania — nauka moralna: „A ponieważ człowiek najprędzej człowiekowi szkodzić może, dlatego według przyrodzonego rzeczy porządku, edukacja obywatela najpierw dać mu poznać ludzi powinna, z którymi żyć musi. Tę naukę nazywam moralną. Nauka moralna ze wszystkich najpierwsza."

Prócz tedy wszystkich doraźnych reform i ratunków w rzeczach skarbu, wojska i gospodarki społecznej, prócz wszystkich tych czynów, których gwałtownie domagała się ówczesna tragiczna rzeczywistość, zaleca Staszic troskę o ducha młodzieży, której powierza swoje nadzieje i rady: „Jeżeli te prawdy odemnie ogłoszone, padną nieużytecznie na umysły zastarzałych w złem wychowaniu, w nałogach, w bezprawiu, zewnętrznych i wewnętrznych gwałtach, wytłomaczcie je, wpajajcie w miękkie serca jeszcze cnotliwej młodzieży."

Staszic zastanawiał się również nad naprawą ciał ustawodawczych. Widział ją w zachowaniu „minimum cywilizacji“ przy powoływaniu przedstawicielstwa narodowego. Reprezentantów wybory — pisze w „Rodzie ludzkim“ — działy się dotąd przez kupy, gminy, gromady, rycerskie koła, zjazdy i sejmiki.“ A więc „do tak ważnych, tyle światła potrzebujących czynności wszędzie tłum wybierał osoby w tłumie... Tak wybrani mieli układać zasady konstytucyjne narodu, stanowić o losie, o porządku, o szczęściu kraju, mieli sądzić o rzeczach, których całkiem nie znali, mieli stanowić o najważniejszych przedmiotach, do których zważania poprzednich nauk i długiego doświadczenia potrzeba.“ Przytem sposób ten „jest albo wypadków ślepym trafem, albo dumy i przemożności lub intrygi dziełem.“ By to zło usunąć, Staszic proponuje zmianę systemu wyborczego. Posłów wybierać powinny „instytucje cywilizacyjne“, by każdy poseł posiadał „swojej instytucji właściwe umiejętności.“ Innemi słowy zaleca reprezentację interesów poszczególnych grup gospodarczych i kulturalnych. Jest to koncepcja żywo we współczesnej literaturze politycznej omawiana, zwłaszcza w latach ostatnich, latach t. zw. kryzysu parlamentaryzmu.

Wśród wielu najśmielszych i w najdalszą przyszłość sięgających planów Staszica, na szczególną uwagę zasługują myśli o „zrzeszeniu narodów“ i o „stałym ogólnym pokoju“, myśli, które — jak pisze w „Rodzaju ludzkim“ — „nie są marą, nie są tylko ideałami, są w naturze, są przeznaczeniem w postępie cywilizacji narodów.“ Drogi, jakie widział Staszic ku „zrzeszeniu narodów“ były już wówczas nierealne,

najważniejszą bowiem rolę w tem zrzeszeniu wyznaczał Rosji o panslawistyczne idee opartej. Wszelako sama myśl o „zrzeszeniu narodów“ była najgłębszem spojrzeniem w tę przyszłość, która dzisiejszą Ligę Narodów powołała do życia. „Naturalna dążność człowieka do łączenia się z innymi — pisze Staszic — w rozwijaniu się pierwiastkowej cywilizacji połączyła narody, a z ich stowarzyszenia się w pokolenia, połączyła też dalej pokolenia, klany, narodki i porobiła społeczeństwa większych narodów; ona w dalszej drodze, przy rozwijaniu się cywilizacji rodu ludzkiego, usiłuje połączyć i stowarzyszyć z sobą narody.“

STRATY NAJWIĘKSZE. Postać D-ra Waltera Rathenaua znana była szerokiej opinji zarówno w Niemczech, jak i w innych krajach, jako twórcy słynnej organizacji „Kriegsrohstoffelle“ oraz jako dyktatora życia gospodarczego Niemiec podczas wojny. W roli tej położył dla swego państwa wielkie zasługi. Również znany był szerszej publiczności, jako autor dzieła „Neue Wirtschaft“, wydanego w połowie 1917-go roku, a które doczekało się już kilkudziesięciu wydań. Po upadku monarchji wydał książkę p. t. „Der Kaiser“, która zdobyła sobie wielki sukces w kołach republikańskich, jako miażdżąca krytyka monarchistycznej przeszłości Niemiec. Mniej głośnemi poza granicami Niemiec, choć równie niepospolitemi, są te dzieła Rathenaua, w których zaleca nowe normy socjalno-etyczne powojennego świata. Książki takie, jak „Von kommenden Dingen“ i „Mechanik des Geistes“ nie są dziś jeszcze należycie docenione, choć stanowią wielką zdobycz społecznej myśli euro-

pejskiej. Występuje tu głęboki idealista, opierający swe drogowskazy o realny grunt nowej rzeczywistości. Staje tu do walki z nałogami myślowemi przedwojennych i wojennych czasów, podważa polityczne i społeczne tradycje, buduje nowy światopogląd dla swego narodu, w którym widzi możliwość wyzwolenia się z tych wszystkich właściwości, jakie ściągały nań nienawiść świata. Jest apostołem zwycięstwa w klęsce, zwycięstwa całkiem innego, niż zamierzone: nie przez podbój i grabieże, ale w wielkich walorach pracy i twórczości. Przeciwstawienie się najkrańcowsze dawnej ideologji, zerwanie całkowite z hasłami i tendencjami państwa militarnego, rola pokojowa, praca na najdalszą obliczona przyszłość — wszystko to przysparza mu równie entuzjastycznych zwolenników wśród żywiołów tworzących t. zw. „nowe Niemcy“, jak i najzaciętszych wrogów wśród tych, których dzieje wojny niczego nie nauczyły i którzy dziś jeszcze trwają w swoich — wobec nowej rzeczywistości — zupełnie obłędnych nadziejach.

Postać Rathenaua — to przedziwne i rzadkie połączenie głębokiego myśliciela z człowiekiem niesłychanej energji i czynu.

Już pisano, jakie skutki pociągnie za sobą zamordowanie Rathenaua. Przedewszystkiem — obudzenie nieco osłabionej czujności Europy wobec zakusów monarchistycznych w Niemczech i wzmocnienie kadrów republikańskich. Drogim stanie się to kosztem. Cóż bowiem okropniejszego, niż śmierć wielkiego intelektu, cóż bardziej potwornego, niż zamordowanie człowieka, który wyrósł ponad poziom swego

pokolenia i obdarza je bogactwem swego ducha? Tak odwdzięcza się nieprzytomny motłoch, wszystko jedno z prawicy, czy z lewicy (w Rosji rewolucja „ludowa“ mordowała uczonych), motłoch, który nie wie, co czyni.

W dniu wybuchu wojny zamordowany był wielki umysł i wielki działacz Jaurès, w czasie usiłowanej pacyfikacji świata z rąk zbrodniarza pada Rathenau. Tego rodzaju straty, przez obydwa poniesione narody, zaliczyć trzeba do rzędu największych i niepowetowanych.

PO ŚMIERCI LENINA. W dawnej Wenecji urządzano doroczną uroczystość biczowania morza, żeby posłuszne było celom ludzkim. Wyobraźmy sobie, że dożowie weneccy dla wykonania tej ceremonji zwołali z całego świata największych siłaczów, którzyby falom morskim zadawali jaknajsilniejsze razy. Podziwialibyśmy wówczas dwie rzeczy: imponujące muskuły bijących i niemniej imponującą obojętność morza, grającego swemi falami, tak jak grało przedtem i jak grać będzie w przyszłości. Moglibyśmy powiedzieć: potężny jest, kto tak bije, zarazem stwierdzając tej potęgi nicość, szaleństwo jej bezcelowego wysiłku w walce z żywiołem natury.

Uderzenia w ludzi tem się różnią od smagania morza, że morze przy takiem zajęciu nie krwawi, lecz podobne są w swej niecelowości.

Lenin, wielki w błędzie i wielki w zbrodni, zaważył na losach szóstej części lądu ziemskiego, pogrążając w otchłań niedoli ludność tego terytorjum i zarazem odnosząc klęskę swej idei. Nie zwyciężył

rzeczywistości. Nie pokonał żywiołu. Z gotowym przepisem na zbawienie proletarjatu świata, przystąpił do dzieła burzenia, trzymając się hasła, które szlachetny Hercen wypowiedział w chwili nieprzytomnej egzaltacji: „Przy przejściu ze starego świata do nowego niewolno niczego zabierać ze sobą“. Niczego! Raj trzeba tworzyć na gruzach wszystkiego, co było. Zniszczyć trzeba wszystko. I wówczas — słowa to również Hercena — wówczas: „Vive la mort! niech żyje zniszczenie i chaos“. Tak właśnie zamiast raju tworzy się piekło na ziemi. Stworzono je, w pożarze rewolucyjnym, paląc przeszłość, lecz jednocześnie demonstrując światu — ku wiecznej nauce — najkrańcowszą fantastyczność swych idei, do których nie mogło przystosować się życie, choć tak umęczone i znękane, jak przez terror bolszewizmu. Klęska idei komunistycznej była tem większa, im więcej pochłaniała ofiar.

Lenin był owym „prawdziwym krukiem“, którego nadejście zapowiadał już Pugaczew, kiedy wołał: „Nie jestem jeszcze krukiem, jestem tylko pisklęciem kruka, prawdziwy kruk jeszcze buja w obłokach“.

Wielkość przywalona klęską własną i tych, których miała zbawić, żałosną jest wielkością. Po śmierci Lenina życzyć należy narodowi rosyjskiemu, żeby mógł dobrze po takich wielkościach wypocząć.

Sto lat temu hr. Józef de Maistre pisał:

„Ci niewolnicy, w miarę jak zostaną obdarowani wolnością, prędko i nieodwołalnie przejdą od zabobonu do ateizmu, od biernego posłuszeństwa do nieokiełznanej aktywności. Te wszystkie niewyrobione charaktery pod wpływem wolności zmienią się

tak, jak pod wpływem wina zmienia się człowiek nieprzywykły do trunków. O ile przy takiem usposobieniu ogółu ukaże się nagle Pugaczew z uniwersyteckim wykształceniem, a takiego człowieka przy warunkach sprzyjających łatwo może zrodzić Rosja, to prawdopodobnie państwo rozpadnie się literalnie w szczątki“. („Quelques pages inedits sur la Russie“ str. 26).

SCEPTYCYZM ANATOLA FRANCE'A. Kiedy w roku 1921-ym nagrodę Nobla otrzymał Anatol France, niektórzy dziennikarze zastanawiali się, czemu nagrodę przyznano właśnie „wielkiemu sceptykowi“ i właśnie w czasach, tak spragnionych gorącego i twórczego idealizmu. Czemu wyróżniono „chłodnego myśliciela“, skoro dzisiejszy świat powojenny na wszystkich swoich bezdrożach potrzebuje nadewszystko wiary, zapału, entuzjazmu? Czy w takiej epoce zasługuje na hołdy „uśmiechnięty ironista“, dla którego „niemasz nic świętego?“

Nazwa wiecznego ironisty, sceptyka, nawet nihilisty (!) przylgnęła do Anatola France'a wskutek jednego z tych nieporozumień, jakie rodzą się na przestrzeni, dzielącej twórcę od gawiedzi i ich orędowników.

Czy sceptyk? Tak, tylko nie w tem znaczeniu, jakie pojęciu sceptycyzmu nadaje pierwszy lepszy „idealistyczny“ tuman. Wielki pisarz, który ubył światu, sam kiedyś odpowiedział najlepiej na te wulgarne „zarzuty“:

„Wszyscy wielcy myśliciele francuscy byli sceptykami, Rabelais, Montaigne, Moliere, Voltaire, Renan... Takimi też były największe umysły ludzkości,

przed którymi schylam czoło, jako ich skromny i pokorny uczeń. Uważa się to określenie za synonim negacji. Lecz właśnie nasi wielcy sceptycy byli umysłami nawskroś pozytywnymi. Przeczyli, ale przeczyli negacji, atakowali wszystko, co krępuje inteligencję i wolę, zwalczali nieświadomość, która ogłupia, błąd i przesąd ciemiężący myśli, nietolerancję, która tyranizuje i nienawiść, która zabija. Sceptycy są największymi idealistami pośród ludzi, tylko są to idealiści smutni i rozczarowani".

Myśliciele tego typu, co Anatol France, chodząc między ludźmi, zdają się im mówić: skoro tak oddaliliście się od wszystkiego, co jest myślą głębszą; skoro brniecie w chaosie swych głupstw, za nic mając wszystkie doświadczenia rodzaju ludzkiego; skoro człowiek człowiekowi wilkiem; skoro pracujecie nad tem, żeby życie sobie wzajemnie zatruć i obrzydzić, to pozwólcie, że zajmę się moimi snami, moją utopją, mirażem moim, całą moją rzeczywistością od waszej niezmiernie daleką. Taki jest mój idealizm. A dla was? Cóż mogę mieć dla was? Żart i współczucie. Współczucie bez granic, ale i żart również granic nie znający. Wierzcie w co chcecie, ale mnie pozwólcie uśmiechnąć się od czasu do czasu, Taki znów będzie mój sceptycyzm.

Anatol France wyraził to innemi słowami: „Ironja, uśmiechając się, czyni życie lżejszem; współczucie, płacząc, czyni je świętem".

Gdzieś, w jakiemś starem muzeum ujrzał Anatol France obraz, przedstawiający dwóch sędziów. Jeden trzyma w dłoni zwitek papieru i wskazuje palcem tekst, drugi wznosi rękę ku górze. W opowiadaniu

France'a „Sprawiedliwi sędziowie" pierwszy sędzia mówi: trzymam się tego, co jest napisane, pierwszy nakaz prawa wyryto na kamieniu — na znak, że przetrwać ma do końca świata. Drugi sędzia odpowiada: każde prawo pisane stawało się nieważnem, gdyż ręka piszącego powolna, a duch człowieczy bystry jest i losy ludzi zmienne...

W bystrości człowieczego ducha ma swoje oparcie idealizm, zapatrzony w utopję, a w zmienności losów ludzkich czerpie swój pokarm myśl sceptyczna, oceniająca teraźniejszość.

DRAMAT BORYSA SAWINKOWA. Samobójstwo Borysa Sawinkowa było pełne głębokiej wymowy.

Jeden z najwybitniejszych ongi rewolucjonistów, nieustraszony w walce o wyzwolenie Rosji z pod jarzma caratu, współorganizator zamachów na Plehwego i w. ks. Sergjusza Aleksandrowicza, po latach dwudziestu wtrącony do więzienia przez dawnych swych towarzyszów, wyskakuje z piątego piętra na bruk i kończy swoje bujne życie, skreśliwszy pożegnalny list, którego ostatnie zdanie brzmi: „Przecież i ja niegdyś walczyłem za rewolucję".

Rzeczywistość rosyjska ma gest dramatyczny wyjątkowo silny. Żywot Borysa Sawinkowa to jakby powieść Dostojewskiego: życie w podziemiach konspiracji pod ustawiczną grozą śmierci męczeńskiej, wielki tryumf wśród zawieruchy światowej, udział we władzy państwa, ucieczka zagranicę i praca nad uratowaniem ojczyzny z pod nowego jarzma, okres chwiejności, kapitulacja ideowa, powrót w skrusze i kajanie się przed sędziami, odezwy i listy pisane

z więzienia do przyjaciół z emigracji, wreszcie śmierć samobójcza. Jakiś jaskrawy melodramat. Jakaś tragiczna awantura, pełna moralnej i duchowej szarpaniny. I typowo rosyjskie „szukanie prawdy“ wśród wszystkich podszeptów, pokus, nastrojów i majaczeń, w atmosferze nieznanych światu kontrastów, w jakie popadł ów „noszący w sobie Boga naród“, który — słowa to Borysa Sawinkowa — „czołga się do stóp lub się buntuje, kaja się lub smaga po brzuchu ciężarną kobietę, rozstrzyga światowe zagadnienia lub hoduje kury w kradzionych fortepianach“.

Jeszcze się Sawinkowowi nie śniło o powrocie do Rosji bolszewickiej, kiedy niespokojną duszę targały mu liczne wątpliwości. Świadczy o tem utwór p. t. „Koń wrony“ nieoceniony dokument psychiki rosyjskiej. Jeszcze walcząc z bolszewizmem, jeszcze organizując antysowiecką armję, pisał: „Przecież nie wiadomo, o co walczymy“. Albo po jednem ze zwycięstw swego wojska: „Zwyciężyliśmy. Lecz nie uczuwam radości i zwykłego upojenia. Rosjanie zwyciężyli Rosjan“. Zadaje sobie pytanie: „Brat przeciw bratu, czy robak przeciw robakowi“. I wątpliwość największa: „Cóż zdołamy dać wzamian? Inną, jeszcze gorszą hańbę i takież kopnięcie żołnierskiego buta? Lub też być może sentymentalne frazesy, bladą niemoc nowoobjawionych Mirabeau...“

Kopnięcie żołnierskiego buta, albo blada niemoc... Kto miał taki problemat, taki wybór, bliski już był rezygnacji. Udał się więc ten niepospolity i tragiczny człowiek do zalanej krwią ojczyzny, by dokonać ostatniej próby życia: pracować wśród tych, których uważał za sługi Antychrysta, prosić ich o przebaczenie,

uznać ich prawa i potęgę, słuchać ich rozkazów. Niewątpliwie szczere są te słowa przedśmiertnego listu: „Kiedy mnie aresztowano, byłem pewny, że mogą być tylko dwa wyjścia: pierwsze — prawie niewątpliwe: rozstrzelanie i drugie, że dadzą mi możność pracowania. Trzecie wyjście — więzienie wydawało mi się niemożliwe“. Nie uprzytamniał sobie, że będzie miał do czynienia z nieubłaganym, mściwym wrogiem, który z aktu skruchy zrobi sobie wszechświatową reklamę, a potem skaże skruszonego na męczarnie więzienia. I zaiste po takiej omyłce, po takiej próbie szalonej i ostatniej, mógł Sawinkow, męcząc się w celi więziennej, powtórzyć te brutalne, kilka lat temu napisane słowa: „Djabli mi nadali urodzić się Rosjaninem...“

PAMIĘCI WIELKIEGO DUCHA. Dnia 22 maja 1925 r. minęło sto lat od śmierci Klaudjusza Henryka hr. de Saint-Simona. Należy choć chwilę pomyśleć ze czcią i powagą o jednym z największych fantastów i najbardziej niespokojnych duchów w dziejach rodzaju ludzkiego. Bo nikt nie wymierzył, ile kochankowie utopji włożyli treści realnej w postęp świata. I czy nie miał słuszności Oskar Wilde, kiedy pisał „Na mapę świata, niezawierającą utopji, nie warto patrzeć, bo pomija ona ten kraj, do którego ludzkość dąży nieustannie“.

On to właśnie, Saint-Simon, śnił na jawie o urzeczywistnionej Utopji. Wierzył, że ma od Boga wyznaczoną rolę nowego drogowskazu, rolę przewodnika i zbawiciela, który uszczęśliwi ludzkość ślepą i błądzącą. Wierzył, że dość powiedzieć jej, iż może

zmienić wszystkie dotyczasowe urządzenia dla własnego dobra i zmieni je napewno...

W jego chaosie duchowym, w jego mglistym mistycyzmie błyskały nieraz światła myśli, które były najrealniejszem posiewem i które wydały dobry plon. Ten, jak mówiono „nieprzyjaciel rewolucji i zwiastun zupełnego przewrotu“ chciał całą mocą swej płomiennej duszy, całą rozpaczą współczującego ludziom serca przeinaczyć wszystko. Jak przeinaczyć? Przez wielką rewelację o tem, że spełnia boską misję, nawołując duchy i ich władców do „nowego chrystjanizmu“. Trzeba tylko, by go wysłuchano. Nasamprzód magnat, spadkobierca ogromnej fortuny, potem nędzarz, nie mający za co wydać swoich pism, w nieustannem podnieceniu twórczem, przez długi szereg lat pisze i przemawia, tworzy rodzaj sekty, zwraca się do możnych tego świata, jakoteż do różnych maluczkich, by go wysłuchali i przyjęli jego zbawcze prawdy. Wierzył w swoje zadanie tak gorąco, że służbie każe się budzić słowami: „Wstań, masz wielkie dzieło do spełnienia.“

W pismach najgłośniejszych, jak „Listy Genewczyka do współczesnych“, „Nowe Chrześcijaństwo“, „Katechizm polityczny przemysłowców“, rozwija wielki obraz twórczej i harmonijnej pracy, rzuca myśli, z których niejedna dla nas już nie jest utopią. Bo ten umysł dziwaczny, jak to się zdarza dość często, łączył w sobie fantastyczność z nadzwyczajną intuicją, ze zdolnością widzenia rzeczy realnych, jeszcze w dalekiej przyszłości ukrytych. I dlatego Saint-Simon, utopista, mógł naprzykład skutecznie podpowiadać wielkiemu Lessepsowi takie projety, jak budowa kanału Sueskiego. I dlatego też niektóre jego sądy, które u współczesnych mu budziły śmiech, politowanie, lub gniew, w naszej świadomości godne są przyjęcia i pochwały. Że choćby przypomnę słynną parabolę, która zaprowadziła go na ławę oskarżonych:

„Przypuśćmy, że we Francji zginęło nagle pięćdziesięciu najznakomitszych uczonych, poetów, artystów, mechaników, inżynierów, budowniczych, kupców, fabrykantów, rzemieślników i t. d. Ponieważ są to główni twórcy bogactwa, przeto Francja pozostałaby ciałem bez głowy. Przypuśćmy, że Francja straciła wszystkich książąt, ministrów, wyższych urzędników i t. d. Niezawodnie żałowałaby ich, ale byłby to smutek jedynie sentymentalny; ten wypadek bowiem nie wyrządziłby szkody państwu. Pierwsza strata byłaby niepowetowana, natomiast drugą zastąpionoby łatwo, gdyż wielu Francuzów mogłoby spełniać funkcję brata królewskiego, innych książąt i innych dostojników.“

Czy dzisiaj praca twórcza nie jest tym walorem, który wynosimy ponad wszystko, budując lepszą przyszłość narodów i państw?

Po stu latach trzeba Ci, wielki, dziwny, niespokojny duchu, złożyć słowa hołdu.

TRAGEDJA MYŚLICIELA. „To, co powiadam, jest historją dwóch najbliższych stuleci. Opisuję, co będzie, co inaczej już być nie może: pojawienie się nihilizmu. Tę historję można opowiedzieć już teraz: albowiem konieczność sama jest tutaj przy robocie.

Ta przyszłość mówi już setkami znaków, ten los zapowiada się wszędzie, dla tej muzyki przyszłości wszyscy mają już słuch zaostrzony. Cała nasza kultura europejska porusza się już od dłuższego czasu z taką torturą naprężenia, jakgdyby zdążała do katastrofy: niespokojnie, gwałtownie, z pieca na łeb, jak potok, który chce dobiec kresu, który się nie namyśla, który wprost boi się namysłu... Dlaczego pojawienie się nihilizmu jest konieczne? Bo dotychczasowe wartości nasze same wyciągają go jako swój ostateczny wniosek, bo nihilizm jest przemyślaną do końca logiką naszych wielkich wartości i ideałów — bo musimy wpierw przeżyć nihilizm, by przejrzeć nareszcie, jaką wartość mają te „wartości"... Potrzeba nam będzie kiedyś nowych wartości."

Oto jedna z błyskawic jasnowidzenia, któremi tytan ducha, Fryderyk Nietzsche, przeszywał tajemnice przyszłości. Z powodu dwudziestej piątej rocznicy śmierci Nietzschego, ten i ów przypomniał obecnemu pokoleniu, czem dla myśli europejskiej były jego burzycielskie i jego twórcze dzieła. Zaiste przypomnieć należy, że nie anegdoty o Zaratustrze, pomniejszonym w buduarach, rozmowach sztubaków, czy towarzyskich maskaradach snobów, bzdurzących o „przewartościowaniu wartości" i o „woli mocy", nie to, co w szerokiej opinji zostało jako wspomnienie o dziele Fryderyka Nietzschego, dać może jakiekolwiek, zbliżone do prawdy pojęcie, czem dla europejskiej elity umysłowej był ten wielki pisarz.

A nawet — cóż za tragedja! — dzieło jednego z najgorętszych i najwznioślejszych marzycieli zostało spaczone, wykoszlawione, zbrutalizowane na to, żeby

stać się wygodnem narzędziem w krwawych rękach zaborcy i zbója, w polityce militarysty, który upiększał się ideami o „woli mocy" („Wille zur Macht"), o „prawach silniejszego" o „niezbędnem wyniszczeniu słabszych", co najmniejsze duchem i zbrodnicze chamy zrozumiały jako rozgrzeszenie wszelkiego bezeceństwa. Apoteoza „nietzscheanizmu" w latach wszechświatowej wojny, propaganda rzekomych haseł Nietzschego na użytek pruskiego militaryzmu była największem pohańbieniem jego imienia. Dzieje nie znają większej krzywdy, wyrządzonej pamięci twórczego ducha.

O tej tragedji pisał już u nas znakomity tłumacz Nietzschego, Wacław Brenet, wskazując, że istotną klątwą Nietzschego były nie duch i myśl, choćby najbardziej groźne, lecz ułuda Zaratustrowego posłannictwa. „Czasy nie są bynajmniej apostolskie, a koszary życia i ducha pruskiego nie były Górą Oliwną". „Prozelityzm w popularności: oto fatum pośmiertne nietzscheańskiej puścizny... Ono to odkrywało nadludzi — w koszarach pruskich, a wolę mocy i żądzę potęgi — śród europejskich snobów". Cała najistotniejsza treść wszystkich dzieł Nietzschego, która kiedyś zaniepokoiła, olśniła i rozgrzała myślące i czujące duchy na obydwóch półkulach globu ziemskiego, a potem w przyprawie przewrotnego kłamstwa podana została sfanatyzowanym głupcom, czeka znów na godnych czytelników.

BACON. Powołany do badania prawdy i z prawdą spokrewniony. Cierpliwy w zadawaniu pytań. Oddany pociągającej ars inveniendi, sztuce odnajdywania.

Tak sam o sobie pisał i takim był Franciszek Bacon, zwany Werulamskim, którego dzieła wspomina dziś świat kulturalny z powodu trzechsetnej rocznicy jego śmierci.

Był jednym z tych umysłów potężnych, jakie znały tylko dawne czasy. Niema dziedziny życia ludzkiego, którą ten mędrzec pominąłby w swoich rozmyślaniach. Chciał poznać wszystko i wszystkiego doznać.

Jako reformator nauk i twórca filozofji nowoczesnej, jako socjolog i pedagog, pragnął rozwiać wielką, wiekami gromadzoną mgłę psychiczną, usunąć wszelkie omamienia, które przeszkadzają w badaniu prawdy i rzeczywistości, a przez to samo w budowaniu dobrych urządzeń społecznego życia. W „Novum Organum" ustala różne kategorje bożków-złudzeń, które mącą myśl ludzką. „Idola tribus"— złudzenia przypisujące naturze cechy i właściwości ludzkie, wrażenia utożsamione z objektywną prawdą. „Idola specus" — swawola sądów indywidualnych, płynących z potrzeb uczuciowych. „Idola fori" — omamienia biorące słowa za rzecz samą. „Idola theatri" — złudzenia przyjmujące z zewnątrz prawdy gotowe i reżyserowane przez historję. Bacon chciał naprawić myślenie człowieka. Ukazał drogi poznania, opartego na doświadczeniu, wyjaśnił znaczenie metody indukcyjnej w badaniu naukowem.

W sprawach społecznych rzucił snopy swiatła, a treść jego „Szkiców moralnych, ekonomicznych i politycznych" (sam dzieło to cenił najbardziej) budzi prawdziwe zdumienie, do jakiego stopnia żywotne mogą być uwagi, wypowiedziane zgórą trzysta lat temu, nietylko w sprawach ogólnych, nietylko na

temat zagadnień wieczystych, ale i w poszczególnych kwestjach z dziedziny stosunków międzyludzkich i międzynarodowych.

Człowiek myśli realnej, praktyk, zajmujący najwyższe w państwie stanowiska, a jednocześnie utopista, snujący fantastyczne obrazy o doskonałem życiu świata, zbawionego przez naukę... W „Nowej Atlantydzie" ów „Dom Salomona" to wielki „skarbiec nauk", szereg pracowni, w których „nabywcy światła" badają życie, by poznawszy je lepiej, świat ludzki uczynić mądrzejszym. Coś z tego utopijnego laboratorjum urzeczywistniło się niezadługo po śmierci Bacona: powstało w Londynie Królewskie Towarzystwo Naukowe, z jego ducha i natchnienia poczęte.

Myśl badawcza Bacona godzi się dobrze z wizjami utopisty. Praca realna myśli twórczej prowadzi przecież do nieustannego urzeczywistniania się utopji.

WIELKI BIEDACZEK. Minęło siedem stuleci od dnia śmierci św. Franciszka z Assyżu. Należy on do tych, którzy zajęli najtrwalsze miejsce w pamięci pokoleń. Wciąż urasta w glorji legendy, tem piękniejszej, im większe na świecie powstaje przeciwieństwo pomiędzy wizjami ideału, a rzeczywistością ludzką. Ów boży śpiewak, ów anielski „poverello", słodko uśmiechnięty i wszystko kochający, jest jakby wieczystem upomnieniem oddalonej od świata, natchnionej, twórczej i niezrozumianej dobroci. Im bardziej oddalonej, tem właśnie większą budzącej tęsknotę.

Czy człowiek dzisiejszy, czy narody całe, cześć mu oddające, nie popadają w jakiś fałsz tragiczny, skoro

po siedmiu stuleciach na drogach przezeń wytkniętych, rodzaj ludzki nie postąpił ani kroku? Jeżeli „formula vitae“ św. Franciszka z Assyżu nie mogła być nigdy dla szerokiego świata drogowskazem, a życie jego — wzorem do naśladowania, wówczas bowiem ludzkość musiałaby się zamienić w korowód plemion koczujących, zadowolonych ze swej biedy i sławiących piękno wszechstworzenia; jeżeli tak się stać nie mogło i nie może dla tysiąca powodów, tkwiących zarówno w naturze człowieka, jak i w czynnikach społecznych, od jego woli niezależnych, to czem jest, jaką treść zawiera hymn pochwały i wdzięczności dla jednostki takiej, jak ten poeta serca, przyjaciel roślin, ptaków, zwierząt, opiekun wszelkiej niedoli i nauczyciel ubóstwa? Cześć dla takich ludzi, jeśli szczera, jest westchnieniem ku doskonałości, choćby była „nie z tego świata“. Środki ku ulepszeniu sumienia ludzkość czerpie również w sferze marzeń i legendy. Dlatego postać św. Franciszka z Assyżu będzie zawsze jędną z kolumn światła, ustawionych na drogach historji i służących sprawom ducha.

Już w zaraniu swej działalności widział św. Franciszek z Assyżu liczne i rażące odchylenia od głoszonych przezeń zasad — nawet wśród najbliższych. Ten, który wraz z pierwszymi uczniami przebywał w schronisku trędowatych, musiał zdziwić się, kiedy wkrótce bracia bolońscy zamieszkali we wspaniałym pałacu. Nie przekonał go zapewne protektor zakonu, kardynał Hugo z Ostji, wyjaśniając, że bracia nie są właścicielami pałacu, jeno „użytkowcami“, zaś właścicielem jest Kościół. Tak również orzekł papież

Innocenty IV, kiedy „Fratri Minores“ otrzymywać zaczęli bogate fundacje. Różnych używano argumentów, by dowieść, że nie biorąc nauki św. Franciszka z Assyżu dosłownie, można jednak pozostać wiernym jego uczniem. „Trzeba — pisze już ówczesny kronikarz zakonny Fra Salimbene — posiadać więcej sukien, a to zarówno ze względu na pranie zbrudzonych, jak i ze względu na ochronę przed zimnem“. Kiedy zaś niektórzy z uczniów fanatycznych chcieli podnieść bunt przeciw zniekształceniu dzieła mistrza, spotkał ich niedobry los: współautor „reguły“ św. Franciszka z Assyżu, Cezary ze Spiry, zakończył życie pod razami kijów, a najgorliwszego z uczniów, Dolcina z Novary, zamęczono na śmierć, szarpiąc mu ciało rozpalonemi obcęgami.

I tak poprzez stulecia toczyła się ta sprawa, ukazując coraz większą przestrzeń, jaka dzieli ewangeliczną apoteozę pokory i ubóstwa od upodobań ludzi, zwłaszcza tych, którzy rządzą światem.

POGROMCA OBŁUDY. Nagrodę literacką Nobla za rok 1926-ty otrzymał Arystofanes XX stulecia, śmiejący się mędrzec, najdowcipniejszy pisarz świata — Bernard Shaw.

Z tej racji pióra bardziej powołane przypomniały czytelnikom dzieje walki i twórczości, jaką Bernard Shaw ma już za sobą. Niechaj jednak wolno będzie i feljetoniście skreślić o nim słów kilka.

W epoce przełomu i powszechnej rewizji dawnych i zwietrzałych sądów o człowieku i społeczeństwie, w czasach, kiedy tyle świetnych i nieświetnych boż-

ków przenosi się do historycznego archiwum, by tam spocząć już na zawsze, w latach kryzysu zapowiadającego odmianę w układzie stosunków międzyludzkich, nadewszystko poprzez „reformy“ przeprowadzone w umysłach, postać Bernarda Shaw wysuwa się na czoło najbardziej radosnych likwidatorów ginącej przeszłości.

Dla walki z przesądem, hamującym postęp świata, uczynił więcej, niż tysiące radykałów. Nie masz bowiem broni skuteczniejszej, niż kiedy zmusi się przeciwnika i wroga, by roześmiał się z samego siebie i tym śmiechem zabił w sobie to, co mu się wydawało godnem najtroskliwszej pielęgnacji. W takiej walce Shaw mistrzem jest nad mistrze. Nie przez „paradoks“ bynajmniej. O „paradoksie“ Shaw mówią najchętniej ci, którzy nie rozumieją i nie doceniają jego słowa, albo też obawiają się utraty tradycyjnych szematów i przepisów na życie, a nie potrafią obronić się przed jego pociskami. Więc pospolity wybieg: to przecież tylko paradoksy... Nie paradoksem rozwala Shaw zgniłe mury starych twierdz przesądu, lecz — potęgą roześmianej prawdy. Jest to największy dziś pogromca obłudy ludzkiej i zakłamanego świata: czy kiedy zdziera maskę z fałszywego patosu w rodzinie, w społeczeństwie, w stosunkach między narodami, czy kiedy na postaci historyczne spojrzy od ich strony zwyczajnie, pospolicie ludzkiej, czy wreszcie — a w tem ma pasję najwspanialszą — kiedy rozprawia się z filozofją przywileju, z argumentami broniącymi praw gwałtu i wyzysku.

A już chyba w tem jego największa zasługa, że

przez budzenie i pogłębianie w ludziach poczucia komizmu, zabija niepotrzebną tragedję i głupie nieszczęście. Przełom moralny współczesnego świata osłabia lub usuwa grozę wielu rzeczy dawnych, zwiększając przez to szczęśliwość rodzaju ludzkiego.

Chesterton w studjum o Bernardzie Shaw napisał, że wielki dowcip Shaw polega najczęściej na ścisłości określenia. Pisze tak, jak widzi i to właśnie przyprawia czytelnika i słuchacza o zachwyt i zdumienie. Poprośmy w restauracji kelnera o butelkę „żółtego“ wina. Kelner będzie zdziwiony, albo roześmieje się, bo dotychczas słyszał tylko o „białem“ winie, którego przecież na świecie niema. Owa „ścisłość określenia“ nietylko prostuje mylne spostrzeżenia, lecz wogóle niszczy wszelkie kłamstwo konwencjonalne.

Bernard Shaw jest socjalistą, niezależnym od partyjnych doktryn, demokratą, dobrze widzącym wszystkie obrzydliwości motłochu, rewolucjonistą bez cienia nihilizmu, wolnomyślicielem, jaknajdalszym od ateistycznych trywialności, prawdziwie nowoczesnym misjonarzem myśli wesołej, a mądrej.

NA DROGACH WYZWOLENIA. Międzynarodowe Stowarzyszenie „Societas Spinozana“ urządziło dnia 21 lutego 1927 r. w Hadze uroczysty obchód 250-tej rocznicy śmierci Spinozy. Tam bowiem spędził ostatnie swe lata i tam życie zakończył mędrzec, którego dzieła, aczkolwiek nigdy przez szerszy ogół nieczytane, wywarły wpływ tak ogromny na dzieje myśli ludzkiej, karmiąc myślicieli całego świata i pobudzając ich do dalszych, coraz śmielszych dociekań.

W naszych czasach, w epoce zrywania pęt wszel-

kiej niewoli, nadewszystko zaś niewoli myśli, należy pamiętać przynajmniej o największych przewodnikach ludzkości, którzy wyprowadzili ją z mroków, z otchłani ciemnoty na drogi wiedzy i rozumu.

Nie tak to dawno, bo dopiero niespełna trzy stulecia temu dokonał się jeden z najpotężniejszych czynów duchowego wyzwolenia. Tem właśnie były dzieła Spinozy. Były owocem niezależnej myśli, owocem buntu przeciw wiekami narzucanym szematem w poglądach na świat, w pojęciach o Bogu, w wierzeniach dogmatycznych. Spinoza, śladem Sokratesa, przeciwstawił się dwom największym, jak pisał, przywarom umysłu ludzkiego: lenistwu i zarozumiałości. Pierwsze zmusza gnić w grubej nieświadomości, druga jest „tyranem umysłów prostackich", które sądzą, iż rozumieją to, czego nie rozumieją.

Spinoza żył w wieku, który rozpoczął się od spalenia Giordana Bruno (w Rzymie 12 lutego 1600 r.), w roku urodzenia Spinozy (1632) Galileusz zmuszony był wyrzec się twierdzenia, iż ziemia kręci się naokoło słońca, a w całej Europie torturowano i palono na stosie tysiące tych, którzy wierzyli nie według obowiązującego przepisu. I Spinoza wyklęty był przez synagogę amsterdamską i wyobcowany z żydowskiego społeczeństwa. Na co odpowiedział: „To nie od dzisiaj prawda kosztuje tak wiele, lecz lęk nie zmusi mnie nigdy do jej odstąpienia".

Zaiste, w walce z ciemnotą i jej dozorcami niemasz dziś jeszcze tezy bardziej „niebezpiecznej", niż ta, która leży u podstaw dzieł Spinozy: „Sądzę, że to wszystko, co się zgadza z rozumem (cum Ratione convenire), dla cnoty najbardziej pożyteczne (ad Viritem maxime utile) być powinno". (Z listu do Oldenburga). Tę myśl uzasadnia i rozwija w nieśmiertelnym „Traktacie teologiczno-politycznym", który największą ściągnął nań nienawiść.

W literaturze naukowej polskiej mamy wyczerpujące i wspaniałe dzieło ś. p. Ignacego Radlińskiego p. t. „Spinoza, rzecz historyczno-społeczna". W konkluzji nasz znakomity uczony pisał: „Dzieło Spinozy było dla współczesnych przedmiotem obawy, wstrętu, prześladowania. Dla następnych pokoleń stało się punktem zwrotnym w rozwoju ich umysłowym, podstawą krytyki wszystkich pojęć, nauką prawdy".

Dziś już nie pali się ludzi na stosach za nielegalną filozofję lub odbiegający od dogmatu pogląd, klątwy nie mają mocy prawnej, myśl zdobyła większą wolność. Wszelako potęga ciemnoty i jej organizatorów nie została obalona. To też praca dawnych bojowników myśli wolnej stanowi wciąż ożywcze źródło, z którego czerpać można siłę dla dalszej walki o wyzwolenie ducha ludzkiego z pod jarzma przesądu.

GDYBY WIEDZIANO... W prasie naszej zamieszczono sporo artykułów, poświęconych setnej rocznicy śmierci Pestalozziego. Szczególnie interesujące są artykuły dzienników klerykalnych i konserwatywnych, które oddają hołd pamięci tego... żarliwego obrońcy wielkiej rewolucji francuskiej, członka tajnych stowarzyszeń reformatorskich, autora pamfletów i odezw, piętnujących ówczesne dygnitarstwo, burzyciela tradycji i rutyny w sposobach nauczania

apostoła oświaty dla ludu i radykalnego demokraty, który walczył o wyzwolenie mas ludowych z pod ucisku władzy państwowej i ucisku kleru.

Duch Pestalozziego uśmiecha się w zaświatach. Pisma klerykalne i konserwatywne, sławiąc pamięć Pestalozziego, popełniają nieostrożność: może się zdarzyć, że ten i ów z pośród czytelników, słowami hołdu zachęcony, zajrzy do pism Pestalozziego i znajdzie tam gorące odezwy o krzywdach ludu i najbardziej namiętne oskarżenia pod adresem możnych tego świata...

Jeżeli już mówimy o Pestalozzim, nie oszukujmy czytelnika metodą półprawdy. Przypomnijmy z okazji rocznicy nietylko genjalną myśl pedagogiczną Pestalozziego, ale i to, że był największą chwałą demokracji, że dla jej rozwoju położył wiekopomne zasługi.

Zasadę powszechnego nauczania wysunęła dopiero rewolucja francuska, a pierwszym tej zasady realizatorem był Jan Henryk Pestalozzi, któremu, z racji zasług na polu oświaty ludowej, rewolucja francuska nadała honorowe obywatelstwo Francji. On też był pierwszym kierownikiem zakładu dla opuszczonych dzieci i ubogich sierot w Stans, założonego przez nowy, demokratyczny rząd szwajcarski w roku 1789. Tam właśnie narodziła się nowoczesna szkoła elementarna, podwaliny początkowego nauczania. W roku 1800 tworzy własny zakład wychowawczy w Burgdorf, przeniesiony do Yverdon (1805), tam prowadzony w ciągu lat 20-tu i budzący zachwyt wielkich przyjaciół ludu, między innymi — Tadeusza Kościuszki.

Należy i to przypomnieć, że Pestalozzi jest autc

rem powieści „Leonard i Gertruda" i że jest to w literaturze europejskiej pierwsza powieść, która daje obraz nędzy robotniczej, opisuje życie biednego i ciemnego ludu. W tej to powieści poraz pierwszy występują postaci wynędzniałych chłopów, robotników i żebraków. Postać Gertrudy, niosąca skuteczną pomoc w pracy swemu mężowi, biednemu murarzowi, wzorowana jest na służącej Pestalozziego, Elżbiecie, której Pestalozzi zawdzięcza to, że wraz z swą rodziną nie pogrążył się w ostatecznej nędzy. Elżbieta bowiem przez nadludzką pracę uratowała resztę jego majątku, porządkując gospodarstwo, o które Pestalozzi nie dbał, całe swe życie poświęcając pracy społecznej. Jest coś symbolicznego w zasługach tej prostej kobiety z ludu wobec wielkiego przyjaciela mas ludowych.

Gdyby wszyscy wiedzieli dokładnie, kim był Pestalozzi, w niektórych środowiskach rocznicowe słowa hołdu byłyby zapewne mniej gorące...

PISARZ O NIEDOBREJ SŁAWIE. Czterysta lat minęło od śmierci Mikołaja Machiavellego, którego pisma w literaturze politycznej świata zajmują miejsce tak wybitne, a tak ważną odgrywały rolę w badaniu zagadnienia o stosunku wzajemnym polityki i moralności. Któż nie słyszał o „machiavelskich" metodach działania? Któż nie nazywał uczniami Machiavellego różnych polityków i mężów stanu, jeśli chciał im zarzucić brak skrupułów moralnych, jeśli widział w ich postępkach przewrotność, wyrafinowaną komedję, maskowanie się pozorami cnót, zgóry planowaną zdradę, wywodzenie wszystkich w pole? Do

dziś pada określenie „machiavelizm“, jako dyskwalifikacja moralna, a czasem właśnie jako pochwała w ustach tych, którym podoba się zasada uświęcenia wszelkich środków przez cel.

Już nieraz pisano, że Mikołaj Machiavelli nie zasłużył na sławę tak niedobrą, choć się do tego w pewnej mierze przyczynił. Opinje o jego pismach, zwłaszcza o słynnej książce „Il Principe“ były w rozmaitych czasach różne. Dość przypomnieć, że papież Klemens VII książkom Machiavellego udzielił aprobaty, te same zaś książki zostały na Soborze Trydenckim potępione i wyklęte. I potem sprzeczne wydawano sądy o treści tych pism. Zapewne dlatego, że zawierają myśli wzniosłe, ale również zalecenia najbardziej cyniczne.

We wszystkich rzeczach florenckiego pisarza, tak samo w najgłośniejszym „Władcy“, jak w „Rozprawie o pierwszej dekadzie Tytusa Liwjusza“, jak i w djalogach p. t. „Księga o sztuce wojskowej“ znajdujemy wyraz pesymistycznego poglądu na naturę człowieka, ściślej mówiąc — na naturę ogromnej większości ludzi. Ciągle tu przychodzą na myśl słowa Plautusa: „Homo homini lupus“, podane, jako niewzruszona prawda, z którą zawsze liczyć się należy we wszelkich działaniach ludzkich, zwłaszcza politycznych. Stąd też w duszy Machiavellego, żarliwego patrjoty, poczucie przepaści pomiędzy ideałem a rzeczywistością i stąd jego wskazówki, by tę, taką, a nie inną rzeczywistość wyzyskać wszelkimi sposobami dla wyzwolenia i zjednoczenia ojczyzny. „Między tem — pisze Machiavelli w rozdziale XV-tym „Il Principe“— co się dzieje na świecie, a tem, co się dziać powinno,

zachodzi tak wielka różnica, iż ten, ktoby rzeczywistość zaniedbywał w imię ideału rzeczywistości, raczej zgubę własną by spowodował, niż poprawę losu: człowiek bowiem, któryby na każdym kroku rządził się zasadami dobra, musiałby przepaść w środowisku ludzi, rządzących się innemi zasadami“. Inaczej brzmią te słowa, niż aforyzm Goethego: „Najlepszą polityką jest etyka“. Jest to dezyderat, rzecz pożądana, upragniona, lecz nie stwierdzenie rzeczywistości. Machiavelli, niecierpliwy patrjota, bynajmniej nie negując wielkiego zadania naprawy człowieka, nie lekceważąc pracy moralnej nad ulepszeniem charakterów ludzkich, chce jaknajprędzej sprawić oswobodzenie ojczyzny, bez odkładania tego zwycięstwa, aż się naprawi jego własny naród i inne narody. Zapatrzony w swój cel jedyny i najwyższy — niepodległość i potęgę państwa, podporządkowuje temu celowi wszystko, a w tej swojej postawie zgodny jest z poglądami największych ludzi swej epoki. To też cieszył się powszechnem wśród rodaków poważaniem, a cierpienia za dobrą sprawę przeżyte — tortury i więzienie — jeszcze go mocniej podniosły w oczach współobywateli.

Razi nas niejedna uwaga tego pisarza, razi nas jego niewybredność moralna, ale przecież nie on stworzył tę rzeczywistość, na którą się powołuje i o której mówi niejedną niewątpliwą prawdę.

Po czterystu latach czas nietylko na sąd sprawiedliwy o niepospolitym człowieku, ale i na ustalenie, co w jego pismach jest wieczyście pożyteczne.

W pismach Machiavellego niema apoteozy zła, niema pochwały przewrotności i cynizmu, niema ni-

czego, coby świadczyć miało, że autor „Il Principe“ to jakieś wcielenie szatana, duch ciemności, drwiący ze wszystkiego, co dobre i szlachetne. Nic podobnego. Zgodnie z pesymistyczną, a już conajmniej sceptyczną oceną natury ludzi, przedewszystkiem zaś moralnego charakteru wszelkich rządów, chce w piekle ludzkiem na ziemi wybudować potężny gmach zjednoczonej ojczyzny. Tak patrząc na rzeczywistość, nie zaleca zbawcom ojczyzny cnót ewangelicznych. Mówi do nich: bądźcie bezlitośni i straszni, kiedy trzeba, bądźcie też czasem miłościwi, jeżeli pewni jesteście, że efekt waszej wspaniałomyślności wzmocni waszą władzę i państwo.

W najbardziej rażących wywodach, mianowicie w rozdziale XVIII-tym „Il Principe“ rozważa Machiavelli dwa rodzaje walki: walkę na prawa i walkę na siły. I powiada: „Pierwszy rodzaj jest właściwy ludziom, drugi właściwy jest zwierzętom, ponieważ jednak często pierwszy rodzaj nie wystarcza, trzeba uciekać się do drugiego. Dlatego to władca musi doskonale umieć używać zarówno natury zwierzęcej jak ludzkiej“. Wyraźny jest tu stosunek Machiavellego do rzeczy niemoralnej. Walkę na siły nazywa zwierzęcą. Ale nie usuwa jej z rzędu sposobów rządzenia, bo nie widzi możliwości, by walka na prawa wystarczała. Więc powołuje się na pisarzy starożytnych, którzy opowiadają, jak Achillesa i wielu królów greckich oddawano na wychowanie do Chirona centaura: „To odbywanie szkoły pod kierunkiem pół-bestji, pół-człowieka, nie oznacza nic innego, tylko wskazówkę, że powinnością władcy bywa używanie tak jednej, jak drugiej natury“. A dalej — rada: „Ponieważ więc władca obowiązany jest używać bestji, powinien wybrać sobie lwa i lisa, lew bowiem sam nie poradzi przeciw sieciom, lis nie poradzi przeciw wilkom. Należy więc być lisem, aby się poznać na sieciach i lwem, by odstraszyć wilków“. W tym samym rozdziale pisze Machiavelli o „potrzebie udawania cnót“, o „niekoniecznem dotrzymywaniu przysięgi“, o „uprawnionych powodach i ubarwieniu wiarołomstwa“, o „wywodzeniu w pole“ i t. p. Te właśnie nauki stworzyły Machiavellemu tak niedobrą sławę, trwającą do dziś, czterysta lat po jego śmierci.

Machiavelli zalecał przedewszystkiem troskę o siłę fizyczną w rządzeniu i przeprowadzaniu reform, które „napotykają wrogów u tych wszystkich, co na starych urządzeniach dobrze wychodzili“. Tedy nowator musi dbać, by „stał o własnej sile“, by mógł „nietylko prosić, lecz przymuszać“. „Wszyscy uzbrojeni prorocy odnosili zwycięstwa, a bezorężni ponosili klęski“. Nie można jednak powiedzieć, by Machiavelli całkiem negował walory moralne i duchowe: jako rzecznik ustroju republikańskiego i jako zwolennik wojsk rodzimych, nie najemnych, chciał widzieć jaknajwiększą siłę moralną odpowiedzialnego udziału szerokich warstw ludności w pracy dla dobra państwa, chciał, by „władca“ mógł opierać się o życzliwość i o wolę patrjotyczną mas.

We wstępie do polskiego przekładu „Il principe“ (wyczerpanego) pisze Wincenty Rzymowski: „Niepodobna wyobrazić sobie bezwzględniejszego kultu sprawy ojczystej, opartego na głębszem zaufaniu w bezgraniczne zasoby umysłowości oraz woli ludzkiej“.

Jeżeli z pism Machiavellego usuniemy wszystko, co razi nasze poczucie moralne, pozostanie jeszcze nauka pożyteczna: o racji stanu, o interesie państwa, o odpowiedzialności dziejowej jednostek rządzących. Nauka ta poparta jest argumentami, jakie w naszych, innych czasach możemy odrzucić, uzupełnić czy poprawić, lecz wiecznie jest żywa i w istocie swojej słuszna.

WIELKIE POŻEGNANIE. Jerzy Clemenceau spędza lata ostatnie w osamotnieniu i ciszy, by pożegnać życie, jak przystało na mędrca. W ciągu paru lat pisał dzieło p. t. „Au soir de la pensée". Stworzył rzecz olśniewającą. Te dwa ogromne tomy będą czytane w największem skupieniu i zachwycie, zarazem z uczuciem podziwu dla umysłu, który na schyłku życia wznosi się na takie szczyty natchnienia.

Już ani jednego słowa o polityce, o wojnie, o Francji, o doświadczeniach męża stanu, szefa rządu, dyktatora... Jeszcze w rozprawie poprzedniej — o Demostenesie — aczkolwiek również od czasów dzisiejszych oderwanej, — dały się wyczuć pewne emocje polityczne, znalazły się jeszcze rady i wskazówki o sposobach rządzenia. Tu zaś — już tylko troska o zagadnienia największe.

„Żyłem wśród zgiełku, a oto słyszę przytłumione kroki ciszy. Nim zamilknę, jakie słowa powiedzieć naostatek? Czy wyrazić moją mądrość, czy moje szaleństwo?"

Usunął się od zgiełku spraw ludzkich, by uczynić inny już rachunek. „Co to znaczy, że żyłem? Co to

znaczy żyć i umierać?" — oto pytanie w pierwszym postawione rozdziale.

Jerzy Clemenceau, po sześćdziesięciu latach najgorętszej walki politycznej, spędza lata ostatnie w cichej kontemplacji, by móc, by zdążyć jeszcze zastanowić się nad odwiecznemi pytaniami myślącego człowieka, wznieść się ponad rzeczy przemijające, spojrzeć w obraz wszechświata, przeżyć „tortury nieskończoności" i „błogie uczucie harmonji z Kosmosem".

Człowiek i wszechświat... Tajemnica przeznaczenia ludzkości w dramacie kosmicznym... Jakiem jestem ogniwem w łańcuchu nieskończoności? Oto sprawy. Wyzwolony ze wszystkich kłamstw konwencjonalnych, „uczciwy wobec siebie aż do zapamiętania", wsłuchuje się w działania praw natury i szuka sensu świata, dróg życia, idących poprzez narodziny i śmierć ku celom dalszym.

Ma zrazu pewne wątpliwości pisarza: „Czy nadmiar pism nie zakłóca ciszy kontemplacji?" Lecz nie. Uczyni rachunek wyjątkowy, daleki od jakichkolwiek szematów myślowych, od uproszczeń dyktowanych przez słabość, przez lęk śmierci, przez zmęczenie umysłu... Nie pomniejszy się w obliczu śmierci, lecz urośnie jeszcze myślą własną, wędrującą po „spektaklach Kosmosu". W tej wędrówce pomoże mu ogrom wiedzy i potęga intuicji, wyostrzony wzrok ducha, najbardziej teraz właśnie żywotnego. Wielki w ambicji intelektualnej, w godności myśli, w natchnieniu twórczem, pisze swoje pożegnanie — spokojne, piękne, dumne, daje ludziom dzieło, które

pozostanie jednym z najwznioślejszych dokumentów genjuszu ludzkiego.

„W tym stanie umysłu, wolny od świata i od siebie samego, ostatnim odruchem świadomości niosę, o wieczorze myśli, niezależne słowo przechodnia...“ — tak kończy swe dzieło jeden z największych ludzi naszych czasów.

SPIS RZECZY

Nakład Księgarni Fe

Zł.

BILIŃSKI LEON, b. minister Skarbu Polskiego. *Wspomnienia i dokumenty 1846–1922.* Z portretem autora. Tom I. Str. 360. 1924 . . . . 12·—
Tom II. Str. 490. 1925 . . . . 16·—

DASZYŃSKA-GOLIŃSKA ZOFJA Dr., prof. Wolnej Wszech. Pol. *Zagadnienia polityki populacyjnej.* Str. 360. 1927 14·—

GRABSKI WŁADYSŁAW. *Dwa lata pracy u podstaw państwowości naszej (1924—1925).* Str. 368 + X. 1927 . 14·—

GRABSKI WŁADYSŁAW JAN Dr. *Fourier (1772–1837), jego życie i doktryna.* Str. XVI + 196. 1928 . . .

SKRZYŃSKI ALEKSANDER. *Dwie mowy.* Str. 96 z portretem autora. 1927 . . . . 6·—

Studja społeczne i gospodarcze. Księga jubileuszowa dla uczczenia 40-letniej pracy naukowej Ludwika Krzywickiego. Str. 342. 1925 . . . . 16·—

BIBLJOTEKA FILOZOFICZNA WYDAWANA PRZEZ WARSZAWSKI INSTYTUT FILOZOFICZNY

HEGEL. *Wstęp do historji filozofji.* (Wstępna część „Wykładów Historji Filozofji"). Przełożył Jan Emil Skiwski, senjor Seminarjum Filozoficznego Wolnej Wszechnicy Polskiej. Zredagował Dr Ignacy Myślicki, prof. Wolnej Wszechnicy Polskiej. Str. XX + 236. 1924 . . . 5·—

JULJAN OFFRAY DE LA METTRIE. *Człowiek-Maszyna.* Przełożył Stefan Rudniański. Z portretem autora. Str. LXIV + 132. 1925 . . . . 5·—

GEORGE BERKELEY. *Trzy djalogi między Hylasem i Filonousem.* Przełożyła Janina Sosnowska. Przejrzał Dr Czesław Znamierowski, profesor Uniwersytetu Poznańskiego. Z portretem autora. Str. 180. 1927 . . . 5·—

EMANUEL KANT. *Prolegomena do wszelkiej przyszłej metafizyki, która będzie mogła wystąpić jako nauka.* Z oryginału przełożył oraz wstępem i przypisami opatrzył Benedykt Bornstein. Wy[illegible] 5·—

—

MONTESQUIEU. *O duchu p*[illegible]
leński (Boy). Przejrzał i [illegible]
Makowski. Z portretem [illegible]
Tom I. Str. XXII [illegible]
Tom II. Str. 496 + [illegible]
Oba tomy w opr. [illegible]

—

BORNSTEIN BENEDYKT [illegible]
i rozsądku. Str. VIII + [illegible]